ŻYCIE

Cena 1 sh.

LIFE
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Rok II. Londyn 19 - 26 grudnia 1948 Nr 45-6/78-9



Galeria w Dreznie Foto Alinari

Fragment obrazu «La Santa Notte» — Malował A. Corregio (1494 — 1534)

„I PORODZIŁA SYNA SWOJEGO PIERWORODNEGO, A UWINĘŁA GO W PIELUSZKI I POŁOŻYŁA W ŻŁOBIE: IŻ MIEJSCA NIE BYŁO IM W GOSPODZIE."

(Łuk. 2,7)

PIOTR KMITA

Obyczaje Boże i ludzie przyzwyczajeni

«Malheur aux ames habituées»

BERGSON powiada, że jednym z najsubtelniejszych niebezpieczeństw, grożących człowiekowi, jest **przyzwyczajenie:** oznaka niemocy i starczości. Dziecko odkrywa świat, wciąż nowy, z niewysłowionym zdumieniem. Każda chwila, wypełniona po brzegi, nabrzmiała jutrem, jest mu zawrotną niespodzianką. W każdym najpokorniejszym zjawisku tropi świat tajemnic. Czas płynie mu wolno, tak jest bogaty. Dziwi się i nadziwić nie może wszystkiemu, co jest. I zadręcza nas pytaniem: **dlaczego?**

Z czasem gasną nam oczy. Kamienieje w nas serce. Atrofieje mózg. Zaczynamy **się przyzwyczajać.** Zapadamy w rutynę. Dziecinne olśnienie rozpływa się w pozornej szarzyźnie dni, nizanych równym, jednostajnym różańcem. Nie dni szarzeją, ale my. Straciliśmy dziecinną łaskę stanu. Nie umiemy się już niczemu dziwić. Nie umiemy podziwiać. Jak mątwa atramentnica zasnuwamy rzeczywistość brudną czernią wyschłych mózgów i serc. Poczem twierdzimy, zjadliwie i smutno: «Ja już nie mam żadnych złudzeń». Tak, jak gdyby fakt ten świadczyć miał o naszej wewnętrznej dojrzałości. Wiek męski dla wielu, dziś zwłaszcza, jest nieuchronnym wiekiem klęski, cmentarzyskiem mnóstwa poległych lub zabitych nadziei. Wchodzimy potulnie w szeregi niezliczone «dusz przyzwyczajonych». Zapadamy w sen. **I najczęściej przeżywamy samych siebie.**

Inny filozof, troche dawniej niż Bergson, a który wcale nie był głupi i nazywał się: Arystoteles, powiada, że na samym początku filozofii (wykłada się zgodnie ze źródłosłowem: umiłowanie mądrości) było **zdziwienie. Thaumasia.** Człowiek zdziwiony mi oczyma patrzył na świat, na siebie, na drugiego człowieka — i w rezultacie zaczął filozofować. Filozofia narodziła się z tego przejmującego zachłyśnięcia rzeczywistością! A więc filozof to nie fircyk zblazowany i przemądrzały, który ziewając, znudzonym głosem zapewnia nas, że wszystko przewidział, wszystko wie i gotów słońce zamienić w sylogizm, ale taki sobie czasem siwowłosy stwór, który zachował wobec rzeczywistości duszę dziecka: Wciąż się dziwi i nadziwić nie może; wstępuje w myśl jak w świat tajemnic; wciąż pyta, uporczywie pyta: «co to?», «dlaczego»? Nie poprzestaje na zdawkowych odpowiedziach. I nie ustaje w szukaniu szukaniem. Okaz to naogół dziś rzadki, zwłaszcza na katedrach uniwersyteckich. Jako że od czasów Arystotelesa nie zawsze szliśmy naprzód, a już zwłaszcza ostatnio postęp techniczny opłacamy groźnym haraczem zawodowej bezmyślności (co wcale nie wyklucza regularnego płodzenia książek, na modłę kur noszących jaja). Po prostu zapomnieliśmy po stromej drodze spiętrzających się wieków, że filozof to taki pan, który nie tylko fabrykuje, ale całkiem po prostu i pokornie **kocha** mądrość (**filein** znaczy kochać, **a zofia,** wiadomo, to mądrość: imię wielce zobowiązujące). A kochać, to odkrywać, to podziwiać, to wyjść z siebie z podziwu; to coś więcej, niż sylogizm.

Jest więc dziecko w całkiem niezłej kompanii, do której dołącza niefrasobliwie, choć niższy rangą, poeta. Wielkie wody prób nie zdołały go usztywnić w suchy badyl wierszoklety. Naprzekór mnóstwu patentowanych durniów, którzy patrzą nań zresztą z niebotyczną wyższością, nie ochłonął nigdy z pierwszego olśnienia wobec faktów tak poziomych, jak słońce, które wstaje i ptak, który śpiewa. I każda wiosna jest dlań kataklizmem kosmicznym, gdyż do żadnej innej niepodobna. Mimo sumiennych wysiłków nauczycielskiego grona, które przez długie lata usiłowało wpoić weń poglądy bardziej praktyczne, gotowe i pewne, ten warchoł niesforny (nie bez kozery obrywał dwóje) nie «przyzwyczaił się» nigdy. I oto chwyta cię, bracie, za guzik od marynarki, na ulicy rojnego miasta, i wyznaje w sekrecie, że kasztany kwitną i że w szczerym polu, gdziekolwiek staniesz, o wiele więcej widzisz nieba, niż ziemi. «Biedny człowiek» powiesz, stuknięty facet! Pocóż się dziwi, gdy ja w tym wszystkim nie widzę absolutnie nic dziwnego? Spojrzysz nań z politowaniem — i pójdziesz dalej.

Roi się dziś od «dusz przyzwyczajonych», nawet wśród dzieci. Szkoły nieraz poto są, by systematycznie oduczać zdziwienia. Wszystko da się wytłumaczyć, wszystko da się zamknąć w formułki. Pan profesor wszystko wie!

Michał Anioł mawiał: «Uczeń i mistrz winni dziwić się RAZEM».

Rutyna może nas zamknąć, ale nam nie wystarcza, tak jak więźniowi nie wystarcza cela więzienna, w której, wiadomo, żyje się jakoś, i nawet lata. W ludziach najbardziej usztywnionych, najbardziej «przyzwyczajonych», najwierutniej szarych kołacze się wstydliwie żal za utraconą, dziecinną łaską stanu. I bywają dni w roku, które dają upust tej żałości. Dni, które starców najbardziej sękatych (a starość nie zawsze się liczy wedle lat) przeobrażają na chwilę w olśnione chłopięta. Dni, w które wolno przecież zamknąć na klucz formułki. Otrzaskaliśmy się, wiadomo, ze światem tajemnic. Nie ma już dla nas żadnych tajemnic. Czemuż tedy raz do roku idą ku nam dni w cichołazach najtkliwszego olśnienia? Dotykają nas różdżką — i otośmy na przeciąg chwili «jak te dzieciątka», zdziwione bezkarnie, radośnie bezbronne wobec nagłej inwazji światła.

Bóg ma w sobie niewątpliwie więcej z dziecka niż z dorosłego człowieka. Choćby dlatego, że w dziecku obraz jego i podobieństwo są bliższe źródła, gdy później naogół głównym wysiłkiem naszych lat narastających jest psuć ten obraz i zamazywać podobieństwo. Z wielkim mozołem i nakładem trudu nieladajakiego fabrykujemy karykaturę samych siebie, wykrzywieni do niepoznania, jak w potwornie krzywym zwierciadle. Któżby w tym otyłym grubasie o policzkach obwisłych i mętnym wejrzeniu rozeznał chłopię przejrzystookie, które z tak rzewną dumą, na fotografii, pokazuje nam matka? Myślimy: ileż napracował się biedak, żeby się zmienić tak nie do poznania! Gdyż nie tyle zmieniają nas lata, ile to źródło tajemnicze w nas naszych czynów, myśli: dusza kształtuje ciało, nie naodwrót.

Raz do roku, w Bożą noc, witamy dzieciństwo odnalezione. Czyjeś dłonie tajemnicze zdejmują z nas chropawą powłokę naszej własnej, niesławnej, wieloletniej fabrykacji. Odnajdujemy, na przeciąg chwili, oczy dziecka! Oto musnęło nas znów ciche skrzydło tajemnicy. Nie próbujemy tłumaczyć, dajemy się ponieść łaskawej fali. I nawet wcale nam nie markotno w towarzystwie wołu i osła...

A może uda się nam sięgnąć dalej, głębiej? Odbronzowić «dobrą nowinę»? Wżyć się w klimat tajemnicy tak zawrotnej, że u jej stóp słowa się łamią. We własnych, ludzkich, ciasnych granicach musnąć bezmiar «struchlały»? Asystować zaślubinom nieba z ziemią? Nareszcie pogodzić się z Bogiem, przetłumaczonym na ludzki kształt? Już nie **pojąć,** ale **podjąć** Słowo, które Ciałem się stało? Zawrzeć drużbę z tajemnicą?

Niestrawne jest chrześcijaństwo dla dusz, obrosłych rutyną, chorych na uwiąd starczy! Toż zaraz na wstępie, zgoła brutalnie, apeluje do dziecka w nas. Do dziecka, któreśmy może zamordowali sami, lecz oto wstaje martwych, odmienia nam oczy, budzi serce i chłonie najcudniejszą rzeczywistość radosnym zdumieniem. Pierwsza nasza konfrontacja z Bogiem za nic sobie ma wszelką etykietę. Oto Dziecko, oto Matka, oto wół, oto osioł, i oto ja. Dworzyszczem stajnia, kolebką — żłób. Uboga dekoracja zawrotnego misterium! Postawiono nam ultimatum: Albo wierzysz, że to dziecko, napozór zgoła zwyczajne, jest zarazem Bogiem, albo bracie, nie masz nic wspólnego z chrześcijaństwem. Dziwisz się? Całe szczęście, że się dziwisz. Bardzo dobrze, że ci się w głowie nie mieści tak niesłychany paradoks. Brawo! Przyjmujesz konfrontację! Spójrz wokół: od dwu tysięcy lat iluż chrześcijan **przywykło?** Mówimy «Boże Narodzenie» jednym tchem, jak rzecz całkiem zwyczajną, gdy oznacza, po prostu, krótkie spięcie czasu z wiecznością. Wyłom świetlny w nasz mrok. Niesamowitą inwazję łaski. Szalony pomysł Boga, który do ludzkich granic zatęsknił. I niezrównane wywyższenie człowieka.

Nie, Bóg nie jest «zwyczajny». Od dwu tysięcy lat obyczaje Boże wprawiają w popłoch świętych. Tak nieprzewidziane. Tak niepojęte. Takie... gorszące. Wszak wiemy, dobrze wiemy, że dla wielu było (jest) zgorszeniem Betlejem, był (jest) zgorszeniem Krzyż. Nie mieszczą się nam w głowie zrękowiny z Panią Biedą Stwórcy nieba i ziemi. Twardy żłób i bierwiona krzyża zamykają niby klamra jego ludzkie życie. «Mając do dyspozycji radość — mówi Paweł święty — wybrał krzyż». Oszałamiający wybór i wart zgłębienia: czyż nie otwiera nieobeszłych perspektyw na istotny motyw Bożych szaleństw, od Betlejem po krzyż?

Miłość nie «przyzwyczaja się» nigdy.

Piotr Kmita.

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ
PRZEWIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU
RODAKOM, UFNYM W SPRAWIEDLIWOŚĆ BOSKĄ
BRACIOM NASZYM W KRAJU
CZYTELNIKOM, PRZYJACIOŁOM,
WSPÓŁPRACOWNIKOM NASZEGO PISMA

SKŁADAJĄ

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA
POMOCY BOŻEJ

REDAKCJA „ŻYCIA"
I KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS"

MARIA WINOWSKA

NOC JAK ŻADNA INNA

OPOWIADANIE

PRZEZ wąską kratę wpłynęła smuga zachodzącego słońca.

Marta czekała na tę chwilę od rana. Codziennie. Nie widziała słońca, tylko odblask na ścianie. Gorącą, świetlaną plamę. Kładła na niej ręce przeźroczystę, wtulała twarz. „Jakżeż kocham słońce — myślała — jakżeż cudne jest słońce". Trwało to chwilę. Jasną smugę wchłaniał mrok. Wypełzał z kątów celi, zasnuwał pajęczyną barłóg, kubeł, zapluskwione ściany Wolno, nieubłaganie. Nie było żadnego ratunku. Szła noc.

Marta nie cierpiała ciemności. Nie mogła się przyzwyczaić. Zdejmował ją co noc histeryczny lęk przed robactwem, wylęgającym o zmierzchu. „Straszna to rzecz — myślała — być tak żartym po ciemku". Dwa dni temu szczur spod głowy wyjadł jej chleb. Całą rację chleba, którą przezornie chowała pod sweter, służący jej za poduszkę. Odtąd bała się okropnie, że może we śnie odgryźć jej nos. „Głupia jesteś. — myślała — przecie to niemożliwe!". A jednak, jednak się bała.

Zimą noce są długie, a w celi Marty nie było światła.

Ale dzisiejsza noc nie taka, jak inne. Przyszła paczka. A w paczce, jakimś cudem przemycona, latarka elektryczna. „Jak długo świecić będzie — myśli Marta z niepokojem — jak mam nią gospodarować? ». I postanawia nagle, że świecić się dziś będzie do końca. Do skutku.

Bo noc dzisiejsza nie taka, jak inne. Boża noc. Marta od rana ujeżdża wyobraźnię, ściąga cugle, zbiera myśli w karny szereg. „O tym myśleć ci wolno" „a o tamtym nie". „Nie mazgaić się". Czasami myśli wypowiada głośno. W ciągu długich miesięcy izolatki nauczyła się rozmawiać z samą sobą. „Szkoda, mówi, że nie mogę zanotować sobie niektórych dialogów: uważam, że są całkiem nie głupie i że dobrze świadczą o dwu ludziach we mnie". Ale Marta nie może pisać: nie ma ani ołówka ani papieru.

Zato w dzisiejszej paczce jest puszka sardynek, piernik nadziewany, kawałek słoniny, kiełbasa, tabliczka czekolady i duży kawał chleba. Bankiet nielada! Od szeregu miesięcy Marta jest chronicznie głodna. Racje cienkiej zupy więziennej nie są nawet zdolne oszukać głodu. Marta wstydzi się tego, lecz poradzić nie może, że nieraz godzinami, leżąc na wznak w ciemności, marzy o jedzeniu Darmo weksluje na wznioślejsze tory, myśl uporczywie wraca do wspominków spiżarnianych... Śniadanie w Krasnem. Pasztet gosposi. Czarujące, zsiadłe mleko... „Ach, widzę ja po sobie — mówi Marta z westchnieniem — jakie ciało jest mdłe! Nawe filozof o pustym żołądku przestałby funkcjonować".

Dziś Marta nie będzie głodna. Jeszcze chwila, a zaświeci latarkę. Niech tylko przejdzie korytarzem pierwszy. nocny rund. Zresztą dzisiaj dozorcy będą patrzeć przez palce. Wiadomo: Boża noc.

Marta leży na wznak, z rękoma skrzyżowanymi pod głową. Myśli:

— Co też oni, teraz, w domu...?

Niedozwolone myśli. Usiadła na barłogu, mruknęła:

— „Znowu mnie poniosło".

O domu myśleć dziś wara. W ogóle z myślami ostrożnie. „Rozkleisz się i znów będzie robota ze sklejaniem". Marta ma już pewną praktykę i wie, co wolno, a co nie. „Musisz zebrać się w kupę — myśli — musisz udawać, że wszystko w porządku.

Jak zwykle, gdy ściemniało, zaczynał się w kącie, na prawo, jednostajny chrobot mysi i szurganie po ceglach miękkich, żwawych łapek. Marta przysunęła paczkę, upewniła się, że zamknięta. Na kurytarzu więziennym rozległy się ciężkie kroki, czyjeś ręce podniosły zasuwę judasza. Marta udawała, że śpi. Kroki oddalały się wolno, równo, bezmyślnie.

Marta podniosła się, wzięła w ręce latarkę, trzymała przez chwilę z bijącym sercem, zaświeciła. Wąska smuga rozjaśniła celę. Spłoszone myszy rozbiegły się po kątach. „Ciekawam, czy można czytać?" pomyślała Marta.

Miała tylko jedną książkę, w marnym stanie: Ewangelię, wydaną w Rzymie na początku wojny. Chowała ją pod kocem, na barłogu. Tak. można czytać. Otworzyła na chybił trafił: początek ewangelii świętego Łukasza «A miesiąca szóstego posłany jest Anioł Gabriel od Boga do miasta galilejskiego, które zowią Nazaret, do Panny, poślubionej mężowi, któremu było Józef, z domu Dawidowego, a imię Panny Maryja »...

Czytała to tyle razy, umiała na pamięć. Czemuż dzisiaj słowa te brzmiały inaczej i niespodziewanie? Marta patrzała z natężeniem na świetlany krąg latarki, myślała: « Przecież to jasne: ta noc nie taka, jak inne"

Przed chwilą była głodna, teraz nie czuła głodu. „Poczekam jeszcze z wilją" mruknęła, „wypada się przygotować". Wpadła szczęśliwie na trop niezakazanych myśli. Dobra książeczka! Tych parę stron streszcza sedno ewangelii. Bóg, który człowiekiem się stał. „Ja wiem, myśli Marta, ale czy **wiem** naprawdę"?.

I nagle wydało się jej, że czyta dobrze znany tekst po raz pierwszy w życiu. Każde słowo długimi korzeniami oplatało tysiąclecia. aż hen — po wiekuistą glebę - żywicielkę. Otwierał się nieprzewidziany wymiar w głąb. Długą noc adwentu orały błyskawice natrętnych interwencji Bożych. Wieczność przemocą wdzierała się w czas. I człowiek, biedny, słaby człowiek próżno uciekał, próżno się krył. Lepiąc go z potulnej gliny Stwórca chytrze zakonspirował na samym dnie groźnego sprzymierzeńca, własną piątą kolumnę: serce niezaspokojone, „cor irrequietum". Z wieku w wiek stromymi szczeblami szła tęsknota We śnie tysiącleci wciąż i wciąż człowiekowi śnił się Bóg! Dostępny. namacalny — ludzki — lecz Bóg. Tajny sojusznik głodnego serca, triumfator. „Odkupiciel mój żywie" — woła Job. Idą stulecia w stronę Betlejem jak królewski korowód. kłonią się nisko przed Dzieciątkiem z Dawidowej krwi...

„I żłób? — myśli Marta — przywykliśmy do żłóbka. Tak jak się przywyka do dekoracji teatralnej. Ale żłób niewątpliwie świadczy o wielkim ubóstwie. Mają rację nasze kolędy, że tak rzewnie wspominają ubóstwo. Widać, coś w nim jest, skoro wybrał je Bóg.

„Właściwie tak wypadało. Ubóstwo jest w stylu Bożym. Bóg **jest**, i **nie ma** nic. Wszystko w nim sprowadza się do słowa: „JEST". Temu Dziecku nie potrzeba reklamy. Najzupełniej wystarcza. że jest".

„A ludzie — myśli Marta — wciąż i wciąż posiadaniem muszą łatać dziury bytu. **Mają** tym więcej, im mniej **są**".

„Właściwie ubóstwo, to całkiem niezła rzecz. Tylko na to, by zrozumieć trzeba sprawdzić. Człowiek — myśli Marta — przypomina mi cebulę: ileż powłok trzeba zdjąć, żeby dobrać się do środka! I właśnie ubóstwo sprowadza nas do najprostszego mianownika bytu, na jaki nas stać.

« Ciekawam — jak też poczuł się Bóg, gdy po raz pierwszy zakosztował naszych granic? Bo przecież była taka chwila, najdokładniej określona. Klinem w Trójcę wdarło się człowieczeństwo. Słowo — stało się Ciałem. Ja tu siedzę w kryminale, zresztą poniewoli — ale mówiąc po ludzku — Pan Bóg gorzej dał się skrępować. Najpierw pieluszkami, później — trzema gwoździmi. Praktyka człowieczeństwa była Mu od pierwszej chwili praktyką cierpienia! I odtąd towarzyszyć mu będzie, krok w krok, cień krzyża ».

« Na dobrą sprawę musi nas Bóg serdecznie kochać — myśli Marta — skoro zaryzykował taką przygodę. Nie wiem, czy jest ktoś na świecie, dla kogo dałabym się zamknąć w kryminale, a trzeba przyznać, że dla Boga ludzkie granice, to gorzej niż kryminał. Chyba tylko święty Paweł znalazł słowo odpowiednie: « unicestwił się » — powiada — « aniquilavit ». Bóg naprawdę nie na żarty zaangażował się w nasze człowieczeństwo! I fakt ten — myśli Marta — zobowiązuje nas.

„Dobrze, że nie słyszy mnie żaden teolog — bo kalkuluję sobie te sprawy całkiem po swojemu, i nie tak, jak piszą książki pobożne. Ale grunt, że wychodzi na jedno. Pan Bóg przecież nie jest wcale wzniosły. W ogóle jak tu mówić wzniośle przed tym żłobem, w tej stajni? Pastuszkowie też na pewno nie byli wzniośli ani dobrze wychowani. Było zimno i wycierali nos w połę sukmany (czy jak się zwała ta ich opończa). I Matka Boska na pewno nie miała śnieżno białej sukienki ani błękitnego welonu, bo tak nie podróżowali ani nie podróżują biedni ludzie. Sądzę. że bylibyśmy bardzo a bardzo zdziwieni, gdyby jakiś niebieski film odegrał nam Bożą noc, tak, jak ją kiedyś aniołowie nawinęli na taśmę wiekuistą. Bylibyśmy zaskoczeni prostotą Bożą. Ale i dziś, trzeba przyznać, Bóg nie robi ceremonii. To my robimy ceremonie. To my jesteśmy skomplikowani. Ale Bóg nie jest skomplikowany" — myśli Marta.

I nagle poczuła, że jest jej całkiem jasno i lekko na sercu Po raz pierwszy od wielu miesięcy więzienny uraz scichł. Złe myśli pochowały się po kątach, jak myszy. W odrapanej, brudnej celi zrobiło się nagle całkiem odświętnie. I nawet myśli przestały boleć! Ostrożnie, jak ranny poruszający zdruzgotaną nogę, dotknęła wspomnień przedwojennych. Płynęły bezboleśnie, jak błękitny nurt. I nagle rozluźniły się wszystkie supła karnej musztry, którą zaprawiała dzień w dzień samowolne myśli, oporną wolę. Koła i kółka przestały skrzypieć, jak w maszynie świeżo naoliwionej. Myślą pobiegła do kraju. do domu — i nic. To, i tamto, i wszystko razem **ma sens.** Że ona tu „siedzi" i że oni — tam. Że wojna, że smutno, że głodno. To nic, że nie rozumie. skoro **wie.** Radość wzbierała. jak morze. Na przekór tym brudnym murom. I myszom. I pluskwom. Na przekór — czy też właśnie dlatego?

Rozdzwoniły się dzwony na kościele bernardyńskim. Zawtórowały inne, cieńsze. Z więzienia słychać doskonale. Marta zalicza dzwony do swoich najserdeczniejszych przyjaciół.Zna je nie od dziś. słucha z zapartym tchem. Czy słuch ją myli, czy naprawdę dziś **inaczej?**

Cichutko, ostrożnie, tylko dla siebie Marta zaczęła nucić:

Jezus malusieńki,
Leży nagusieńki,
Płacze z zimna, nie dała mu
Matusia sukienki . . .

Nie było jej wcale, a wcale smutno. Postawiła latarkę na kuble i zaczęła na barłogu rozkładać specjały, przysłane w paczce.

„Mam wilję nie ladajaką" — szepnęła.

I roześmiała się.

Maria Winowska

Kolędy staropolskie

WEJDĘ W SZOPĘ

Wejdę w szopę: mali Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę, Dzieciątku na kolebkę.
Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje.
Trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy z duszy.
Czwarty jeść gotuje, piąty usługuje,
Szósty po szopie tąpta, sprzęty do kąta sprząta.

HEJ NAM HEJ!

Hej nam hej! Pastuszęta, niebożęta
Z fujarkami, z piszczałkami
Do Betlejem pośpieszają
Trzody swoje opuszczają,

Hej nam hej! Witać Pana i Hetmana,
Królewica i Dziedzica
Pokłon pamięci oddawszy,
Marii do nóg upadłszy,

Hej nam hej! Ordynują swoje szyki,
a biorą się do muzyki.
Wojtek w dudy koło budy,
Wach na rogu, chwałę Bogu.

Hej nam hej! Piotr w multanki, Jan w organki,
drudzy czynią wywijanki.
Jakób dawszy Panu dary,
dobywa swojej fujary,

Hej nam hej! Stefan się na żłobku wspiera
i klawikord swój otwiera.
Maciek gdercze na badurze,
Adam woli na wijoli

Hej nam hej! Bartek ryczy na basicy
Kuba barcze na piszczalce,
A Mateusz krętu, wertu,
Udaje się do kurentu,

Hej nam hej! Hieronim łysy na trąbie
właśnie jak siekierą rąbie,
Wawrzek choć zdaleka stoi,
ślicznie bzyka na oboi.

Hej nam hej! Marek dzierżąc w ręku prosię,
przygrywa na krzywonosie,
Wojtek z budy bierze dudy,
a mój Łuka bębna szuka.

Hej nam hej! Józef chwali: «grajcież dalej,
nuż bandura, rżnij mazura!»
Skrupulaci też skakali
brzmiącej arfy gdy słuchali,

Hej nam hej!

JULIAN DOBROWOLSKI

KOLĘDNICY



BIEL pierwszych śniegów... Przyśpiewka kolędy.

W okresie adwentowych dni trąca ona nieśmiało struny geśliczek, ukradkiem nucą ją na przypieckach dzieci, ale w wigilijny wieczór, przy świetle choinek i podważniczek, wybucha tysiącem radosnych głosów i nowiną Jezusowych narodzin ogarnia cały świat.

Gdzież, jak nie na Podhalu, można się zetknąć z najprawdziwszą poezją kolędowych nocy? Kolęda króluje tam w kościółkach, w osiedlach, w dolinach i na zbyrkach. Beskidzkie śpiewki o Turbaczu i Luboniu ustępują miejsca kołysankom o Malućkim - Niedużym. A On się nie gniewa, że Mu te podhalańskie bitniki wyśpiewują z przytupem, a choćby i z kieliszkiem gorzałki w garści. Niech się jeno niebo wygwieździ, a Podhale jak długie i wysokie chwyta za basy, gęśle, klarnety i, niby smrekowy las, szumi kolędą Pod strzechą niczyich gwiazd gazdują teraz kolędnicy. Kto ich tam policzy? Z każdego przysiołka i osiedla wychodzą te nocne wagabundy z szopką, turoniem, gwiazdą i kapelą. Śpiewają Malućkiemu, ludziom i sobie. Od lat, od niepamiętnych czasów.

— — — — — — — —

Dziadek Kotarba wyciągnął z sąsieka owiniętą w gałgany okarynę. Grał na niej kolędy, o jakich się na Podhalu już nikomu nie śniło. Ludziska zabaczyli o nich. Drzewiej, kiedy to on przewodził kolędnikom we Mszanie, wszystek naród je śpiewał. Rówieśnicy jego powymierali, kolędowanie przeszło na młodszych. Ród Kotarbów podtrzymywał jeszcze tradycję najlepszych muzykantów, ale w jego szeregi wkradły się już gęśle Myszogladów z Olszyn, a najtęższym klarnecistą okazał się Gałuszka z mszańskiego Rynku. Dziadem kolędowej grupy został Steczek, żydem Znachowski, a jasełek nikt tak zgrabnie nie przedstawił jak Franek Lesiek. Szeregi Kotarbów przerzedził czas i nieprzyjazny los, który sprawił, że w ich familiach rodziło się za dużo dziewek a za mało parobków. Zespół kolędników nic na tym nie stracił. Chłopcy z Rynku, zamiast stworzyć odrębną grupę, połączyli się z Kotarbami i w ten sposób pod nutę najlepszej kapeli śpiewały najlepsze głosy, a lalki w szopce ożyły cudowną gwarą.

Któż się mógł równać z nimi, z tą najprzedniejszą arystokracją wśród kolędników? Kotarby, Leśki, Znachowcy i Gałuszki z Rynku, Steczki i Lewki spod Szklanówki, Myszoglądy i Pitale z Olszyn — to byli mistrze nad mistrzami. I od wszystkiego. Urodzeni kłusownicy: szedł taki «rapsik» za kuną dwa dni i dwie noce, ale ją w końcu przynosił w zanadrzu; pstrągi im same szły do ręki; wesela, zabawy i festyny pod ich nieobecność żadnego nie miały uroku, bo się kończyły bez bitki. Ale niechby który spróbował podnieść rękę w czasie kolędowych wypraw! Hej, Mocny Wielgi, rozniesli by go na cztery wiatry! A okazji było co niemiara. Z biegiem lat potworzyły się inne grupki kolędników i nieraz spotykali się na jednym osiedlu Ten i ów zaciskał pięści. Wtedy najstarszy z Kotarbów tak mu przykazował:

— Franek, nie bądź taki krewki, bo oni telo praw mają chwalić Jezuska kolędą co i ty.

— Dyć dobrze. Zaśpasowałem se jeno....

— No to nie śpasuj. Nad biedotą trza się zawdy litować.

Kotarbowie wiedzieli, że im nikt nie odbierze przodownictwa w kolędzie. Ci biedniejsi chodzili od chaty do chaty z gwiazdą, bez kapeli i bez szopki. A ich grupa miała jeszcze jeden powód do dumy: oto w jej szeregi zaciągnął się najtęższy śpiewak mszański Józek Kopajda. Z początku mieli z nim kapkę kłopotu: Józek upierał się grać na bębnie. To była jego specjalność. W orkiestrze strażackiej grywał niemal od dziecka. Walił w bęben z rozmachem, jak mocarz. To nic, że wszystkich grajków zagłuszał na amen; grzmocił bowiem do taktu i śpiewał, na co sobie nie mógł pozwolić i sam Kotarba. Co roku więc Kopajda tłumaczył towarzyszom konieczność wprowadzenia bębna do kapeli kolędniczej.

— Muzyka bez bębna — mawiał — to jak kapusta bez omasty.

Nikt Kopajdy nie słuchał a Franek Lesiek kpił z niego nielitościwie:

— Przy śpiewaniu możesz se spokojnie dłubać w nosie, a bęben by ci zajął obydwie ręce.

W końcu Józek przestał nalegać. Głęboko w sercu schował urazę bębnową, ale od kolędników nie odszedł. Co noc włóczył się z nimi po zbyrkach i urwiskach, a śpiewał głośno, od serca.

Gdy kolędnicy przychodzili na osiedle kto żyw, zrywał się z barłogów: starszyzna, dziewki, parobcy i dzieciarnia. Nawet i najbiedniejsi nie skąpili kolędnikom grosza. Grubsi gazdowie zapraszali ich do izb, częstowali jadłem i gorzałką. Bywało nieraz, że po kolędach i szopce Kotarby uderzali w nutę oberka, a dziady, żydy, turonie i śpiewacy chwytali dziewki w pół i dalejże z nimi zwyrtać po klepisku! Odchodzili jednak wcześnie, boć przecie w innych chatach i osiedlach tyle ludzi czekało na kolędową nowinę. Gorzałka dodawała im animuszu i sentymentu. Kopajda płakał, że go niby ukrzywdzili tym bębnem, ale wycierał nos i śpiewał ochotnie; niejeden z muzykantów walił się w kąt izby, gęśli jednak z garści nie wypuszczał.



Przez te ciągotki do gorzałki mieli wiele przepraw z księdzem dziekanem Stabrawą. Dobrze ich nieraz wyświęcił z ambony, w końcu zakazał kolędować po nocach. Chłopcy poszli po rozum do głowy i w noc Bożego Narodzenia stanęli pod oknami plebanii. Zagrali na gęślach i basach. a gdy się uciszyło Steczek składnie do księdza przemówił, że go niby chcieli posłuchać i zabaczyć o kolędowaniu, ale przyszedł do nich Anioł z nieba i tak powiedział: « Pan Jezus się zadomowił w tych śniegach i biedzie. a wy Mu kolędować nie będziecie?». To oni jako dobrzy chrześcijanie z Panem Jezusem śpasować nie chcą i Boży przykaz wypełnić muszą I zaśpiewali księdzu cygańsko - góralską kolędę:

Gore gwiazda Jezuskowi w obłoku,
[w obłoku,
wół i osioł towarzyszą przy boku,
[przy boku,
Hejże ino dyna, dyna,
narodził się Bóg - Dziecina
na sianie, na sianie.

Księdzu dziekanowi zmiękło serce. ręka sięgnęła po sakiewkę. Kopajda. który odszedł ostatni spod okien plebanii, sumientował się potem. że ksiądz proboszcz podarował kolędnikom flaszkę gorzałki. Nikt mu nie przeczył. choć wszyscy wiedzieli, że ją Józek kupił za własne centy w karczmie u Kalczyńskich

W niepisanych dziejach tych mszańskich kolędników miało miejsce wielkie wydarzenie: na rok przed wojną grali i śpiewali kolędy dla całej Polski z rozgłośni krakowskiej. W ich rodzinnej Mszanie dęła kurniawa, ale na ulicach było tyle narodu, że kto tylko posiadał odbiornik radiowy, wystawiał go w otwarte okno, by ludzie z dalekich wiosek posłuchali kolędników w cyfrowanych portkach i guńkach. Przed mikrofonem kolędnicy czuli się tak samo jak pod oknami podhalańskiej chaty. Władek Myszogląd jechał do Krakowa z wielką nadzieją; założył się bowiem z Olkiem Kalczyńskim — dziedzicem karczmy, w której popijał Orkan — że krzyknie do niego, niby do Olka, z samego Krakowa. Zakład był gruby: dziesięć litrów gorzały i zapewniony kredyt w okresach kieszeniowej biedy. Do gry wmieszał się także honor; bo przecie by się dziewki z niego śmiały, że się wygrażał a słowa nie dotrzymał. Władek należał do honornych chopaków; to też stanął przed mikrofonem i ryknął potężnie:

— Olek, bestyja! Rychtuj gorzałkę!

Gdy kolędnicy wrócili do Mszany, nie tylko Olek « przyrychtował » dla nich przyjęcie; każda chałupa chciała ich gościć od wieczora do rana, o ksiądz Stabrawa zacierał z radości ręce.

W roztokach nic się nie zmieniło. Jako i drzewiej kolędnicy śpiewali przed oknami chałup aż do Matki Boskiej Gromnicznej. Odchodząc dziękowali ludziom za gościnę:

Za kolędę dziękujemy,
szczęścia, zdrowia winszujemy
na ten Nowy Rok, na ten Nowy Rok.

Zdarzało się — były to jednak rzadkie wypadki — że ktoś nie umiał ocenić ich dobroci. Taki niegodziwiec centa im nie dał, a zwyrtał ozorem za sto reńskich. To też kolędnicy odpłacali mu się żartobliwą nutą:

Jak na drugi rok przyjdziemy,
wszystkie szyby wybijemy
hej, na Nowy Rok, hej, na Nowy Rok.

W ciągu długich lat na nikim tej

DOKOŃCZENIE NA STR. 14

ANATOL KRAKOWIECKI

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

(Fragment «KSIĄŻKI O KOŁYMIE»)

WIGILIA i Boże Narodzenie w celi czterdziestej. Sylwester i Nowy Rok w czternastej.

Jest to cela skazańców. Każdy mieszkaniec celi jest reprezentowany przez jakiś wyrok. Najmniejsze mają złodzieje. Potem zaraz idziemy my, turyści, a następnie są wyroki po pięć, osiem i dziesięć lat. Zwłaszcza policjanci obficie są zaopatrzeni w te «lata». Jeden z nich był skazany na śmierć. Dość niezwykła historia z tym policjantem: bo, o ile można przyjąć nawet i taki punkt widzenia, że zajmowanie « stanowiska » w obcym, suwerennym państwie stanowi... przestępstwo polityczne, to wypadek, o którym wspominam, jest jeszcze dramatyczniejszy. Pewien jegomość został mianowicie w sierpniu zmobilizowany do rezerwy policji. Zgłosił się do władzy, ale na dobrą sprawę nie zdążył właściwie być w służbie. Po wkroczeniu wojsk sowieckich został aresztowany, postawiony przed sąd i skazany na śmierć. Z zawodu zresztą nie był oczywiście wcale policjantem, tylko... artystą malarzem.

Zaledwie jednak go skazano, już mu zaproponowano, aby wniósł prośbę o ułaskawienie. Chłop nie chce. Chodzą do niego do celi, przynoszą papier i ołówek i namawiają:

— Pisz!

A jegomość nie chce. Oni zioną na niego przekleństwami, a on na nich. Zdejmują z niego ubranie i w bieliźnie wsadzają do izolatora. A on siedzi o chlebie i wodzie wśród sopli lodu i robi awantury. Wreszcie zawiadamiają go, że został « pomiłowany » na dziesięć lat i przeprowadzają na celę skazańców, na czternastą...

— Tu już chyba jest dno? — powiadam sobie.

Albowiem nieodżałowane są czasy, jakie przeszły w celi numer czterdziesty. Tu jest brud i smród i zepsute urządzenie w kącie, z którego wylewają się strugi obrzydliwej cieczy. Tu są wszy, tu są kłótnie i awantury. Tu jest zorganizowany front « zawodowego » świata przestępczego przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Zaczyna ginąć chleb i różne drobiazgi z kieszeni.

Wytrawny paser stanisławowski, wybitny łotr, terroryzuje wszystkich. Nie dopuszcza do mycia się, sam chce zająć pierwsze miejsce w sali. Żąda, żeby mu usługiwano. Kiedyś ciężką drewnianą przykrywą rzucił w siedemnastoletniego skazańca. Trzeba stworzyć wspólny front. « Starosta » celi, Andrzej Zarosiński ma z paserem ustawiczne starcia.

Jeść dają coraz gorzej i coraz większe są awantury przy rozdzielaniu chleba. Dochodzi do bitek. Wreszcie wkracza w tę sprawę również i Hans Belau. Przed nosem pasera wywija potężną pięścią murarza, czy żeglarza. Zdecydowana postawa robi swoje — stary paser i młode szczenięta złodziejskie uspokajają się.

Nadchodzi dzień 2 stycznia i biorą nas na etap. Mamy zażyć przyjemności uczenia się musztry więziennej. Wyprowadzają nas na dziedziniec i ustawiają w piątki.

— Ustawić się w piątki!

Słyszę wezwanie-rozkaz, który potem będzie uderzał z wrzaskiem o moje uszy — może kilka tysięcy razy.

— Ustawić się w piątki! Krok w lewo, krok w prawo, a będę strzelał bez uprzedzenia!

Pierwsza piątka rusza. Przy bramie stoi strażnik i odlicza:

— Pierwsza!

Pierwszych pięciu ludzi przechodzi za bramę.

— Druga, trzecia, czwarta, piąta.

I tak dalej, bez końca. Obstawieni jesteśmy dookoła strażnikami: Karabiny w rękach Nagany w dłoniach. Karabin maszynowy ustawiony naprzeciw. I psy — obrzydliwe, wściekłe psy. Zajeżdża samochód i ceremoniał zaczyna się od nowa:

— Pierwsza, druga, trzecia...

Pięć piątek, dwudziestu pięciu ludzi, wsadzono na samochód. Jedziemy na dworzec towarowy i podjeżdżamy na rampę. Tam wysadzają nas.

— Siadać! — rozlegają się wrzaski.

Przykucamy. Jest bardzo zimno. Zęby szczękają bezradnie. Podwiewa wiatr, oczy się łzawią. W serce wdziera się rozpacz. Na próżno oczy rozglądają się dookoła, na próżno serce domaga się cudu. Nie ma cudu: Nie ma luk w konwoju. Charczą groźne psy i szarpią się na łańcuchach. I jest zimno.



Jeńcy polscy w jednym z obozów sowieckich
(Rysunek dokumentarny)

Któż w danej chwili może przypuścić, że to zimno nie jest jeszcze zimnem w całym tego słowa znaczeniu, że ta rozpacz nie jest jeszcze rozpaczą? Że ta bezsiła nie jest jeszcze otchłanią beznadziei? Błysnęły światła reflektorów i widać jak na dłoni: nie ma luk, nie ma przerw w konwoju! Nie ma wyrw w szpalerze. Są ludzie, karabiny i psy. I reflektory.

Prowadzą nas na rampę, odliczają w jakiś tajemniczy sposób i pakują do wagonów. Rozwarte drzwi wagonu i pomost. Nie można bluznąć pod pomost, nie można dać nura pod wagon. Ludzie, karabiny, psy. I znów odliczanie:

— Pierwsza, druga, trzecia...

Pakują do wagonu trzydziestu pięciu ludzi. Jednego, Więckowiaka, byłego komendanta posterunku policji, musimy wnieść. Ma opuchnięte nogi i cały jest opuchnięty.

W wagonie wmontowany jest piecyk. Na tym piecyku nasze nadzieje opierają uradowane oczy (nie tylko dlatego, że będzie ciepło...).

Tylko kilkunastu jest w naszym wagonie skazanych, reszta, to więźniowie «śledczy». My już uważamy się za załatwionych, oni będą tułać się od więzienia do więzienia, od śledztwa do śledztwa w poszukiwaniu wyroku. W innych krajach przestępcę wiezie się na miejsce przestępstwa, ażeby łatwiej było przeprowadzić śledztwo. Tutaj « przestępcę » wywozi się z miejsca « przestępstwa » — też żeby było łatwiej przeprowadzić śledztwo. Bodaj, czy nie jesteśmy od nich szczęśliwsi, my — skazańcy? Chyba — tak? Nasze oczy skazańców szukają luk, wypatrują szpar, rozglądają się gorączkowo dookoła.

— Uciekać!

Oto jest myśl, która przeszywa większość umysłów. Tutaj jako sprzymierzeńcy dołączają się również przestępcy kryminalni, których « świat » odnosił się do nas kilka godzin temu tak wrogo.

Pociąg rusza; wśród nas są kolejarze. Obserwują świat przez otwarte jedno okienko wagonu, patrzą na mijane stacje i dziwią się, że jedziemy na zachód, a nie na wschód. Niektórzy z naszych mają do nich, do tych kolejarzy specjalne zainteresowanie. Tworzą grupkę w kącie wagonu i leżąc na dolnych narach, szepczą: —

— Jak jest zbudowane podwozie wagonu?

Stary kolejarz, kierownik pociągów z Delatyna, Izydor Winiak rysuje ołówkiem na desce, jak wygląda żebrowanie podwozia wagonu. Nie można przecież męczyć się po to , by natrafić na żelazo. Mimo ustawicznych rewizji, w wagonie jest kilka ołówków. Chronione są, jako rzecz niezwykle cenna.

Piecyk stoi na środku wagonu. Tylko węgla nie ma. Nie ma czym palić. Jest zimno ludziom, którzy dopiero mają zapoznać się z tym, jak bardzo zimno może być potworne. Na najbliższym postoju wrzask:

— Węgla! Węgla!

Tworzy się chór i skanduje jedno słowo: «Węgla ». Ale chór, to już: bunt! To zmowa, to organizacja. Wagon obstawiony dokoła. Ludzie, karabiny, psy. Szczęk kłódki i zgrzyt odsuwanych drzwi. Osiem karabinów wymierzonych w otwór wagonu. Jakaś władza, jakiś naczelnik. Klnie, rzuca się, wyzywa. Nie uderzy, bo za dużo świadków. Grozi rozstrzelaniem. Że to bunt, że to zmowa, że to organizacja. A samo słowo: organizacja jest kontrrewolucją!

Izydor Winiak przedkłada mu prośbę. Idzie o trochę węgla. Jakoś skutek jest osiągnięty. Przynoszą worek węgla i wysypują do wagonu. Zwyciężyliśmy. Nie zdajemy sobie sprawy, że to umyślna polityka, polityka ustępstw. Pociąg jedzie jeszcze ciągle przez ziemie polskie. Polski pociąg, polskie wagony. Na tych ziemiach i w tutejszych składach pociągowych nie znają jeszcze pełnej organizacji i typowego wyposażenia pociągu więziennego. Całego pociągu więźniów nikt tu nigdy nie widział. Ale my o tym wszystkim wówczas nie wiemy; mamy się o tym dowiedzieć dopiero później, dopiero później mamy zrozumieć, że mijają niepowrotne okazje...

Lecz węgiel — jest! Za chwilę w piecyku płonie ogień. W wagonie robi się cieplej. Zwłaszcza cieplej jest na górnych narach, — uczymy się pierwszych zasadniczych nauk kryminalnych. Na dolnych narach w nogi jest ciepło, ale głowę otula szron.

Nie wiem — skąd wzięło się to żelazo? Wiele takich tajemnic otaczać mnie będzie w przyszłości. Dość, że żelazo jest! Na podłodze, pod dolnymi narami, leży młody człowiek. Inny młody człowiek trzyma żelazo w piecu. Żelazo jest wreszcie rozpalone, czerwone, sypiące skry, poczem wędruje pod nary. Za chwilę słychać syk i dym unosi się w powietrze. Teraz trzeba czekać aż dym się rozpłynie i dopiero wówczas żelazo może powtórnie zagłębić się w podłodze wagonu.

A tu pociąg stuka na zwrotnicach i może zatrzymać się? Zaś foszty drewniane, stanowiące podłogę wagonu, są bardzo grube. Ciężka, mozolna i niebezpieczna praca. W wagonie nie ma chyba nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z tego, co się dzieje. Są jednak tacy, którzy nie chcą widzieć, nie chcą wiedzieć, nie chcą słyszeć. Zaczynają ostrożnie szemrać, że « dym gryzie w oczy » — i od tego momentu nabrzmiewa protest.

Przejeżdżamy przez Stryj i docieramy do Sambora. Stajemy na stacji. Długi, więzienny pociąg — nazbieraliśmy tych wagonów po drodze bez liku. Niebywałe w Polsce widowisko. Wagony, wagony. A każdy z nich zamknięty, zatrzaśnięte wrota, skoble zamknięte na kłódkę. Dookoła ludzie w mundurach, karabiny i psy. Przez mały lufcik można ujrzeć świat. Skrawek peronu.

DOKOŃCZENIE NA STR. 6



Obóz w Kozielsku: jeńcy polscy w byłej cerkwi

MAGDALENA ZAŁUSKA

POKUSA PRZEZWYCIĘŻONA



Mickiewicz według miniatury de Viviena (1827)

POMIĘDZY naszą dolą a dolą emigracji sprzed stu lat istnieją przedziwne analogie. Dziś, jak wtedy głównym jej trzonem jest żołnierz rozbrojony. Dziś, jak wtedy, nadzieje nasze w sojuszach i przyjaźniach pokładane, okazały się zawodne. Dziś, jak wtedy, żyjemy w rozproszeniu i nieświadomości jutra.

Wspomnijmy pokrótce ową epokę, groźną i chmurną, jak nasza. Powstanie listopadowe zawiodło. Ostatnie szczątki polskiego, regularnego wojska przeszły granicę pruską. Po długiej wędrówce o chłodzie i głodzie gromady rozbitków dotarły do Francji, owej « ziemi obiecanej wolności», Plater, Kniaziewicz, Bem chcą tworzyć legiony polskie. W tych obszarpańcach zczerniałych od trudów nieludzkich płonie wiara w rychły odwet. Apelują w przejmujących odezwach do wolnych narodów o pomoc i jawne poparcie polskiej sprawy. Ale wolne narody udają, że nie słyszą. Burżuazyjny rząd Ludwika Filipa odrzeka się oficjalnie wszelkiej zmowy z powstańcami. Wtedy to pada z ust jednego z przywódców katolickiej Francji znamienne oskarżenie: **«Francja będzie w stanie grzechu śmiertelnego, dopóki Polska nie odzyska wolności ».**

Lecz w owych latach kurs chrześcijański nie jest bynajmniej kursem oficjalnym. Polityką rządzi tam oportunizm. Wszak Rosja jest potęgą i lepiej być z nią w zgodzie! Pozzo di Borgo, ambasador rosyjski, udaremnia zabiegi przywódców emigracji. W ten sposób traci ona swoją główną rację istnienia i najważniejszą więź moralną: **świadomość celowości.** Traci również jedyną więź organizacyjną: spoistość formacji wojskowych. Więź tę rząd francuski zrywał świadomie najgruntowniej. Pod naciskiem rosyjskich czynników postanowił on unieszkodliwić to olbrzymie ciało obce; w tym celu porozrzucał je małymi oddziałkami po t. zw. zakładach — wówczas zwano je «dépots» — czyli po prostu: internował je po odległych miejscowościach prowincjonalnych.



Mickiewicz według portretu H. Rodakowskiego (1856)

Sytuacja stała się złowroga. Rozbitkom polskim, pozbawionym normalnych form istnienia, grozi wyniszczenie. Na podłożu psychologii klęski zaczęły szybko szerzyć się przejawy rozluźnienia moralnego, spowodowane rozgoryczeniem i bezczynnością: karciarstwo, pijaństwo, kłótliwość, sobkostwo. Najlepsi dawali porwać się prądowi. Szczytne ideały, które tak niedawno jeszcze wiodły tych żołnierzy urodzonych przez bohaterski trud, teraz oto zdały się daremne i znikome, gdyż rzeczywistość na każdym kroku zadawała im kłam. Ludzie mocni i twardzi w boju, przeorani świeżymi bliznami, doświadczeni w męce ciała i duszy, teraz oto, o ironio! zaczęli się załamywać. Sam kwiat rycerski Polski zdawał się skazany na zgubę nieuchronną. W płytkich swarach, w partyjnych rozgrywkach marniał duch. Budziła się z martwych wieczna prywata.

Ale Bóg w mądrości swej tak rozrządził światem, iż tam, gdzie obfituje zło, nie zbywa też na lekarstwie i, wpośród wielkich klęsk dobro bujniej się pleni. Ilekroć grunt pod stopami się rwie, wyrastają ku obronie duchowe szańce, reduty oporu mocniejszego nad śmierć. Nie ma takich czeluści, z których by dobyć się nie sposób po klamrach nadziei Nie ma takich zwątpień, na których dnie nie tliłby płomyk ubogi, popiołem zasypany, lecz mogący z dnia na dzień buchnąć pożarem czynu My nie znamy własnych granic — i własnych możliwości. W obliczu własnej duszy jesteśmy, jak dzieci, igrające ogniem. Lecz niech się zjawi wśród nas wieszcz budziciel, pomazaniec geniuszu, niech ugodzi nas słowem jak brzeszczotem, prosto w serce; niech zawstydzi naszą małość krótkowzroczną nieobeszłym widnokręgiem; niech otrząśnie nas ze snu, niech smagnie nas biczem zasłużonej chłosty; niech olśni nas pięknem, niech zarazi nas miłością: i oto nagle przecieramy oczy jak ludzie, obudzeni ze snu; w stojące nasze wody wdarł się wartki prąd. Daremne nasze plewy przesiał halny wiatr Pod plewami odnajdujemy ziarno. Woda, w strumień ujęta, jawi się siłą.

I oto znów odnajdujemy zapomniane, może zdradzone, własne oblicze Mocą słowa poeta obudził w nas duszę, jak księżniczkę zaklętą Odtąd już to, co znikome, wystarczyć nam nie może. Oczarował nas prąd wartki, zaraził tęsknotą halny wiatr. Rwiemy więzy, zdradziecko narzucone. Jesteśmy wreszcie sobą, ludzie wolni! Lecz wolność wewnętrzna jest źródłem i warunkiem tamtej, zewnętrznej i próżno pysznilby się niepodległością, kto by duchem trwał w niewoli.

Tych to prawd i wielu innych, uczy wieszcz poeta, mianowany z Bożej łaski budzicielem sennych i przewodnikiem serc. Nie on przynosi lekarstwo uzdrawiające Ale przypadł mu w udziale honor nieladajaki. — prostowanie Pańskich dróg Gdzie bije słowo natchnione — smutek, rozpacz, zniechęcenie pierzchają jak nietoperze zdruzgotane światłem. Przez ten wyłom świetlisty rychło patrzeć, jak cichym nurtem spłynie Łaska.

Taką to rolę szczytną i trudną przed stu laty wziął w udziale, z ręki Bożej Adam Mickiewicz. Rzucony w sam wir polskiego uchodźctwa, uświadomił sobie odpowiedzialność za talent, oddany mu we włodarstwo. Umarł Gustaw, urzeczony osobistym cierpieniem; narodził się Konrad cierpiący za miliony. Poeta zrozumiał, że włada słowem nie sobie tylko, ale tym rzeszom, łaknącym pokrzepienia. Nie było to płytkie zwekslowanie z poetyckich szlaków na grząskie ścieżki dydaktyzmu, czy moralizatorstwa, ale dogłębny proces psychiczny, który przedzierżgnął poetę w wieszcza tragedii narodowej. Tysiące pytań, rzucanych niebu i ziemi przez polskich wygnańców, zestrzeliły się oto w jedno ogromne pytanie, w krzyk tak przejmującej mocy, w tak uparte kołatanie, że Pan wieków nie odmówił odpowiedzi tak wielkiemu natręctwu. Zobaczymy za chwilę, czym było pytanie, i jak brzmiała odpowiedź.

Ale wpierw powiedzmy sobie, że Mickiewicz także nam ma wiele do powiedzenia. Zmieniły się wprawdzie czasy i fala historii nie powraca. Bywają jednak w dziejach znamienne analogie, zaś na podobne choroby potrzeba podobnego lekarstwa. Większość spośród nas czytała Mickiewicza w niepodległej Polsce. Język jego był nam może niezupełnie zrozumiały, tok myśli zdawał się daleki i obcy. Wszak **byliśmy wolni** — marzyły się nam inne arcydzieła, pełne słonecznej afirmacji i młodzieńczego rozpędu. Odżegnywaliśmy się od wszelakiego « cierpiętnictwa », tego chleba powszedniego naszych ojców i dziadów. Budowaliśmy przecież Polskę « wielką i mocarną », świadomą swojej roli w koncercie narodów.

I oto, z dnia na dzień, najtwardsza rzeczywistość druzgotała nasze nadzieje. Wydarto nam Polskę, jak żywy strzęp ciała, i któż z nas nie broczy dzisiaj żywą krwią? Wychowani w wolności, znaleźliśmy się oto, na wzór ojców, pod obcymi zaborami. Jak oni, gotowiśmy iść na krańce świata w obronie tej Umęczonej Jak oni przegraliśmy walkę orężną, jak oni zostaliśmy zdradzeni, opuszczeni, wyrzuceni poza burtę normalnego życia I jak oni, jesteśmy osaczeni mnóstwem niebezpieczeństw, wynikających z nienormalnych warunków bytowania. Bezczynność, Smutek, Zniechęcenie, Rozpacz — to groźni doradcy. Niejeden z nas sprawdził już na własnej skórze ich zatrute podszepty.

Jesteśmy rozbici, rozproszeni, pogubieni, w sobie i poza sobą. Ileż podobieństw między naszymi « obozami » a owymi « dépots » sprzed stu lat! Te same plenią się fermenty, te same czyhają potrzaski. Najmocniejsi czują, jak grunt im pęka pod nogami: w gorzkim samopoznaniu sprawdzają swoją utajoną słabość. I zamiast walczyć — jakżeż często idą z prądem, poddają się naoślep fali zdarzeń, robią trupa: « niech będzie, co ma być!». Z najczynniejszych żołnierzy przedzierżgają się powoli w biernych cierpiętników, których czas unosi bezwolnie w nieznane jutro Tragedią naszej emigracji — jak ówczesnej — jest załamanie się wiary we własny, aktualny, czynny udział w służbie narodowej, w budowaniu przyszłej Polski; psychoza, którą St Brzozowski nazwał tak trafnie **pokusą bezdziejowości.**

Z tą pokusą walczył, póki tchu, Mickiewicz. Czy są wśród nas « panowie Słowa», jak poetów zwie Manzoni, którzy by choć w części podjęli jego schedę? Albowiem, mimo bijących analogii, nic w dziejach się nie powtarza Każdą epokę trawią własne postulaty, każda domaga się własnych rozwiązań. Każde pokolenie szuka rzeczników z własnej krwi i kości, wrosłych weń korzeniem, stworzonym poto, by je dźwignąć na plan zamysłów Bożych.

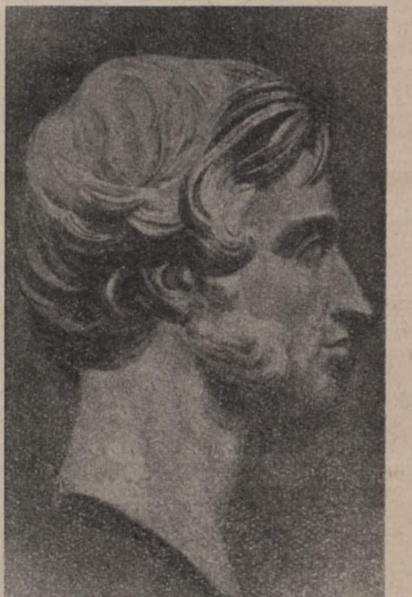
Czy są tacy ludzie wpośród nas? Czyśmy do nich dorośli? **Czyśmy na nich zasłużyli?** Jedną z zapomnianych i tak gorzko dziś zdradzonych prawd jest świadomość współodpowiedzialnych jednostek poszczególnych za kształt całości. **Nikt** sobie **nie żyje i** sobie **nie umiera.** Żaden czyn, choćby najskrytszy, nie jest czynem własnym. Jak kamień w wodę rzucony znaczy taflę przejrzystą coraz szerszym zasięgiem kręgów. tak nasz wpływ na bieg całości dociera dalej, niż przeczuwamy, żłobi w dziejach ślad niestarty. Wszystkie nasze myśli, słowa, czyny mają swą wagę dla sprawy pospólnej. Poeta rodzi się z łaski Bożej, ale prawo do głosu daje mu wola współczesnych. Obyśmy nie zagłuszyli wpośród nas ludzi, powołanych ku przewodnictwu nie z urzędu, ani z ambicji, ani dla zysku doczesnego, ale dla ducha.



Mickiewicz według portretu A. Kamińskiego (1849)

A więc dziedzictwo Mickiewicza nie powinno w nas usypiać pragnienia, aby w naszej dobie, z naszego pokolenia, narodził się wieszcz i stał się nam głosem. Lecz to czekanie na poetę, zrodzonego wśród nas, uskrzydlającego nasze tęknoty, dzielącego naszą dolę, nie powinno również umniejszać w nas miłości do tamtych wieszczów, którzy dźwignęli całe pokolenie straceńców na plan wielkiego posłannictwa Wśród nich najbliższy nam i najaktualniejszy jest Adam Mickiewicz. Dlaczego?

Dlatego, że najgłębiej pojął i najrzetelniej wypełnił swoją **rolę poety.** Że stał się rzecznikiem tego, co najgłębsze w naszym narodzie. Że miłość ojczyzny ujął w treści jej najpełniejszej, jako formę **służby.** Że służbę tę wprzągł w całokształt religijnych postulatów, które tylko na planie heroizmu i świętości znajdują



Mickiewicz według stalorytu z płaskorzeźby Davida d'Angers (1829)



KOWNO W POCZĄ



Mickiewicz według fotografii M. Szwejcera (1854)

pełne rozwiązanie. « Idą czasy — czytamy w jednym z jego listów — **gdy trzeba będzie być świętym, aby być poetą ».**

Przyjrzyjmy się z lotu ptaka stopniowemu narastaniu procesu duchowego, który Gustawa przedzierżgnął w Konrada, zaś Konrada pchnął na drogę pokory i samozaparcia. Wspaniałym skrótem tej ewolucji jest Dziadów część III.

W obliczu straszliwych klęsk, godzących w naród, Gustaw przełamuje ciasne szranki osobistego życia — i szczęścia — aby bez reszty poświęcić się Sprawie.

Wyrazem tej przemiany są narodziny Konrada. Nie bez ukrytej intencji dał mu poeta imię bohatera jednego ze swoich młodzieńczych dzieł. Konrad Wallenrod wzniecił problemy, do których wówczas poeta nie dorósł. Pytanie brzmiało: czy cel podniosły, miłość ojczyzny, legitymuje i usprawiedliwia wszystkie środki, również nieetyczne? Czy Machiavelli miał rację? Czy można budować ojczyznę wielką i piękną w zwadzie z Bogiem, prowodawcą moralnego ładu?



Mickiewicz według portretu J. Schmelera (1829)



...ĄTKU XIX WIEKU

Na to pytanie jakżeż przejmująco aktualne młody Mickiewicz odpowiedział « tak ». Konrad Wallenrod jest poniekąd apologią machiavellizmu. Myliłby się wszakże ten, kto by w owym poemacie rycerskim doszukiwał się jakiejś sprecyzowanej doktryny, czy kodeksu moralnego. Rzeczą poety nie jest kazać lecz unaoczniać. W tym jego słabość i zarazem potęga. Żaden imperatyw kategoryczny nie dorówna siłą poetyckiej ewokacji, sięgającej samego jądra rzeczy, trzewi bytu. Gdyż prawo tylko dyktuje, zaś życie — zaraża. Konrad Wallenrod stoi na planie zgoła innym niż « Il principe », lecz zasięg jego wpływu jest głębszy. Machiavelli tylko rozum uwodził: Almanzor i Konrad godzą nas w samo serce.

Nie dziw, że w miarę pogłębiania religijnego Mickiewicz raz po raz powraca do postawionego ongiś problemu, który nurtuje go jak rana otwarta. Upadek powstania listopadowego, brutalne przekreślenie najdroższych nadziei wiedzie poetę tuż tuża do gorzkiej rewizji idei, które ongiś przyoblekł w ciało. Trzecia część Dziadów jest wyrazem tej rozprawy generalnej.

« Najtrudniejsza jest walka z chimerą własnej duszy», mówi Żeromski w « Sułkowskim ». Czytając trzecią część Dziadów, jesteśmy świadkami tej najtrudniejszej walki. Dziś jeszcze karty tego dzieła sprzed stu lat broczą, zda się, żywą krwią. Błyskawice owej pamiętnej nocy nie przestały rozogniać widnokręgu. Poeta zawarł w słowo tajemnicę najtragiczniejszego konfliktu; między dobrem a złem, którego polem i areną jest każda dusza ludzka. Któż z nas nie miał swojej «nocy», w której ważył się nasz los? Królewskim przywilejem poety jest owa zdolność dobywania na jaw i oblekania w krew i ciało najskrytszych naszych przeżyć — i walk, na zawsze decydujących.

Konrad urodzony w celi więziennej podejmuje schedę swego imiennika. Miłość ojczyzny spaliła w nim i pochłonęła wszelką inną miłość

«Teraz duszą ja w moją ojczyznę wcielony
Ja i ojczyzna to jedno
Nazywał się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze».

Wszelako u samego dna tego aktu samopalnego tkwi śmiertelna skaza. Konrad chce sam stanowić o zbawieniu swojego narodu « z Bogiem i choćby mimo Boga ». Stara, dotąd nieprzezwyciężona, prometejska pokusa znajduje wyraz swój — najwspanialszy w literaturze świata — i swój zenit w « Wielkiej Improwizacji ».

Konrad mierzy się z Bogiem jak równy z równym. Na skrzydłach czucia chce się wznieść « kędy graniczą stwórca i natura ». Domaga się «rządu dusz ».

«Ja chcę mieć władzę, jaką ty posiadasz,
«Ja chcę duszami władać, jak ty niemi [władasz»

Nigdy nadczłowieczy mit nie święcił tragiczniejszych triumfów Konrad wciela sny wszystkich boguburców, którzy próbowali kształtować dzieje wbrew Bogu, czy mimo Boga. Znamy dziś twórców «nowego ładu», którzy uzurpują prawa Boże i mocni wiarą, że « naród i oni, to jedno » dyktują światu nowy kodeks moralny czy raczej: amoralny, będący w jaskrawej sprzeczności z prawem ogłoszonym na Synaju. W proroczej wizji Mickiewicz jakby przewidział najtragiczniejsze konflikty współczesnych prometeuszów. Przewidział, napiętnował — przezwyciężył.

Na coraz natrętniejsze wyznania Konrada, Bóg pozostaje głuchy i niemy. Daremnie człowiek mobilizuje wszelką moc czucia i woli. Daremnie w niebo kołacze. Wołanie jego nie jest modlitwą, gdyż brak mu korzenia i fundamentu: pokory Coraz wyżej i wyżej Konrad próbuje się wznieść po spirali pychy, na śmierć zaślepionej, na szczudłach bluźnierstwa:

«Ja wydam tobie krwawszą bitwę niźli [szatan
On walczył na rozumy, ja wyzwę na [serca...»

Bóg milczy.

Odmierzywszy swoją moc człowieczą wszerz i wzdłuż, Konrad wali się bezsilnie, wydany na łup piekielnej gawiedzi. Lecz wara od niego « gdyż za nim się modlą »! Wchodzimy w samo centrum chrześcijańskiego misterium. Czego Konrad nie dokazał, dokaże Ks. Piotr. Czego Konrad nie zdobył, wymodli Ks. Piotr. «Pan maluczkim objawia, czego wielkim odmawia», śpiewa chór anielski. Pokora Ks. Piotra zjednywa mu odpowiedź, o którą Konrad daremnie kołatał:

«Panie, czemże ja jestem przed twojem [obliczem?
prochem i niczem,
Ale gdym Tobie moją nicość wyspowiadał,
ja, proch, będę z Panem gadał».

Konrad nie przedarł przyszłości brzeszczotem geniuszu i woli. Pokornemu biedaczynie odsłania się wizja Polski zmartwychwstałej. Konrad daremnie marzył o « rządzie dusz ». Księdzu Piotrowi dusze ludzkie same niejako garną się w ręce nie poto, by nimi władał, lecz by im służył, choćby ceną własnego życia, jak jego Mistrz i Pan. Lecz służba taka jest zarazem najpełniejszym królowaniem.

Gra toczy się na planie niewidzialnym, kędy losy ludzkie zazębiają się o siebie sekretnie, na planie świętych obcowania. Ksiądz Piotr modli się za Konrada. Na szalę Bożego gniewu, wznieconego pychą buntownika, rzuca swoją pokorę — i całe swoje życie:

«Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik [stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic.
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej [wiary,
A ja, za jego winy, przyjmę wszystkie [kary.
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe [imię.
Módlmy się, Pan nasz dobry, Pan ofiarę [przyjmie...»

Ofiara X. Piotra przechyla szalę sprawiedliwości Bożej na rzecz miłosierdzia. Wydarty piekłu Konrad, wstępuje na drogę pokutną, która nauczy go kolejnymi etapami, czym jest sprawiedliwa miłość ojczyzny. Na nic zda się cierpieć i kochać za miliony, gdy się jest w zwadzie z Tym, który jest Miłością. Poza Bogiem, ni przeciw Bogu, nie ma trwałego budowania. Tragedią prometeuszów jest ich samowystarczalność: w walce z Bogiem niszczą własne dzieło. Jeden Mickiewicz spośród romantyków pojął prometeizm tak, jak ongiś Ajschylos, poeta najgłębiej religijny. Nie jako « wyzwolenie », lecz jako straszliwą tragedię człowieka-tytana, który budując przeciw Bogu, własnymi dłońmi burzy. Gdyż miłość ojczyzny jest nakazem religijnym i formą służby Bożej. Oderwana od swojego korzenia i fundamentu rychło przeradza się w karykaturę. Nigdy żaden bogoburca nie przysłużył się swojej ojczyźnie! I cóż, że doraźnymi sukcesami zamydla oczy? I cóż, że skradnie ogień z nieba? Żadna moc go nie ocali od przygwożdżenia do pręgierza dziejów. Skradzionym ogniem spali własny naród.

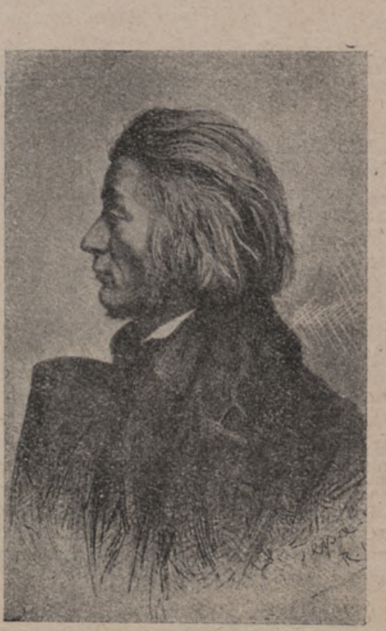
W genialnej wizji Mickiewicz przejrzał — i napiętnował pokusę wszystkich wieków, lecz kto wie, czy nie rozpoznał w Konradzie nowych prometeuszów, którzy utożsamiając się z narodem, silni narodem wytaczają Bogu walkę na śmierć i życie — i sami niemal mianują się Bogiem? Wiemy, kto czyhał na duszę Konrada, gdy z ust jego miało paść ostatnie, najstraszliwsze bluźnierstwo Gdzie pycha urasta do takich rozmiarów, « książę tego świata » jest na pewno niedaleko. Człowiek upity swoją mocą urojoną, staje się kukłą w ręku szatana. Służbę Bożą zamienia na inną...

DOKOŃCZENIE NA STR. 10

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

Ballada

**Jak dobrze było w letni dzień
Pojechać z Wilna do Bieniakoń
Poprzez jaszuńskich lasów cień
Poprzez dolinę ponad Waką.
Wszystko poezją tam dyszało
I tajemnicą balladyczną
To nie na spacer się jechało
To się pędziło w romantyczność!
Przydrożnej karczmy kadłub smętny
Chyli się w starych lip osłonie,
A z sinej dali echem tętni
Trąbka i bieg pocztowych koni.
Wicher bijący w sosny rude,
W dzwoniące brzozy, w świerki [ciemne
Jest jak wędrowny siwy dudarz
Idący Niemnem...
Wszystko się tak wspomina świeżo
Jakby godziny przeżyć własnych;
W polach — nie łubin ale świerzop
I dzięcieliny główki krasne.
Las się w dolinkę stacza z góry,
W czombrach się czołga i zanika;
Kłębią się zdala niby chmury
Parkowe drzewa w Bolcienikach.
I staw zielonym blaskiem pała
Pośród pachnących wstęg ajerów,
A droga płynie pod sam pałac —
Dawną siedzibę Puttkamerów.
W jesienną noc wiatr chmury [miecie
I czarne drzewa w deszczu mokną,
Słychać skrzypiące drzwi i świeci
Lewego skrzydła jedno oko.
Ktoś szepcze w mroku i zaklina,
Szlochem się łamie każde słowo
I biała postać w mgłach, muślinach
Idzie aleją kasztanową.
W znajomych ścieżek błądzi łu- [kach,
Przystaje, bieży, krąg zatacza
To nasłuchuje, to znów szuka,
I przywołuje, i rozpacza.
A potem klęka pod sosnowym
Pniem u szumiących leśnych wyżyn
I na kamieniu granitowym
Mozolnie ryje mały krzyżyk.
Ach, pod tą sosną się żegnali,
Gdy niebo okrył nocy granat,
A miłość dotąd krwią się pali
Pod tym kamieniem pogrzebana.
A gdy od wioski pierwszy kur
Rumianej zorzy wschód rozniecі,
Upiór blednieje, wsiąka w bór,
W stronę Bieniakoń mgiełką leci.
A na cmentarzu Bieniakońskim
Płaczące brzozy stoją kołem,
Zarosły zielem ścieżki wąskie
Koło mogiły za kościołem.
Piaskowiec w cieniu zwisłych krza- [ków
Jak pergaminu stlała karta:
«Świętey pamięci z Wereszczaków
Marya»... I reszta słów zatarta.**



Mickiewicz według rysunku F. Tepy (1856)

Wszystkie klisze na tych 2 stronach pochodzące z książki WSPOMNIENIA O MICKIEWICZU zostały nam łaskawie wypożyczone przez firmę «ORBIS», 38 Knightsbridge, London SW1

IGNACY BALIŃSKI

NA FALACH WSPOMNIEŃ...

BYWAJĄ zdarzenia i przelotne okresy w życiu ludzkim, które z różnych a nieraz nie mających nic wspólnego z sobą powodów, wstrząsają człowiekiem, gruntują się w labiryncie jego pamięci i od czasu do czasu, najczęściej może w terminach rocznicowych, odbijają się w nich niby w wielkich zwierciadłach. Niekiedy wita się je z radością i wzruszeniem, niekiedy — przeciwnie — pragnie się, aby zanikały i utonęły w niepamięci.

UROCZYSTOŚĆ CISZY

Obecnie wszyscy Polacy przeżywają wiekopomne wspomnienie 150 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, połączone ze wspomnieniem uroczystości odsłonięcia jego pomnika w skutej jeszcze rosyjskimi więzami Warszawie 24 grudnia 1898 r.

To wspomnienie utkwiło w mojej pamięci jako **uroczystość ciszy.**

Otrzymaliśmy pozwolenie na ten pomnik pod warunkiem zachowania grobowego milczenia przy jego odsłonięciu. Warszawa spełniła ten warunek, ale tylko powierzchownie... W tym wielkim mieście liczącym przeszło pół miliona mieszkańców i mnóstwo przybyłych z różnych stron kraju ze wszystkich zaborów, zapanowała cisza tak głęboka, że słychać było nie tylko bicie serc tysiącznych stłoczonych tłumów, ale zdawało się, że słychać było i «głos z Litwy» i skrzyp sań na zaśnieżonym gościńcu z Zaosia do Nowogródka i szum lasów Świtezi, Ponar, Kuszelewa i bicie serc milionów Polaków z całej dawnej Rzeczypospolitej...

I teraz zdaje mi się, że widzę te tłumy i że słyszę szept milionów głosów. Smutno mi się na sercu zrobiło, że nie dożył tej rocznicy śp. Zygmunt Wasilewski, który był sekretarzem komitetu budowy pomnika, z Sienkiewiczem jako prezesem i drem Karolem Bennim jako wiceprezesem. On to właśnie opisał historię tej budowy ze szczegółowym sprawozdaniem z wszystkich czynności, wpływów i wydatków. Oprócz tego sprawozdania wydano spis wszystkich przyjęć i uroczystości prywatnych — innych być nie mogło — urządzonych w Warszawie w ciągu tego całego tygodnia świątecznego, a dla specjalnego uczczenia Mickiewicza — ułożyliśmy: etnograf Jan Karłowicz, archeolog Zygmunt Gloger i ja pod tytułem « Stulecie » — obszerny tom z nieznanymi dotąd utworami z pierwszej ćwierci XIX wieku. Między innymi Edward Pawłowicz, emigrant z Nowogródka, przysłał historię obrazu Matki Boskiej z byłej cerkwi unickiej bazyliańskiej, do którego matka poety zaniosła była chorego synka. Ja ogłosiłem tam znalezione właśnie w bibliotece Jaszuńskiej listy Słowackiego z Warszawy do Aleksandry Bécu, pasierbicy jego matki, która wówczas przebywała u Michałowej Balińskiej. Podobną książkę, tylko w mniejszych rozmiarach, zredagowaną przez Marię Rodziewiczównę, wydali pisarze z tak zwanej wtedy Litwy pod tytułem « Z ziemi pagórków leśnych ». — Ciekawy jestem, czy te książki gdzieś się jeszcze ostały?

Ale w samym Nowogródku nie wolno było urządzać żadnego obchodu. W cichości umieściliśmy skromną tablicę w kościele podominikańskim:

«Naród wziął Cię za gwiazdę w czarnej
[nocy bólów,
Naród złożył twe prochy pośród swoich
[królów,
Do najszczytniejszych mistrzów ludzkość
[Cię zalicza,
W tysiącach miast po świecie, w kraju,
na obczyźnie
Gdzie są Polacy, imię sławią Mickiewicza,
A głucho być musiało w najbliższej
[ojczyźnie,
Głucho w rodzinnym mieście, głucho na
[tej ziemi,
Którejś krasę uwiecznił słowy
[przedziwnymi
Co wzajem duszę twoją rzeźbiła za młodu
Na pociechę i chwałę całego narodu...»

Dopiero w 14 lat później — 24 grudnia 1915 roku — uczciliśmy tę rocznicę uroczystym nabożeństwem i akademią. Mszę odprawił ks. dziekan Ludwik Mackiewicz, na akademii przemawiali: p. Wierzbowska, Antoni Jundziłł, ja i moi trzej starsi synowie. Pomimo śnieżycy z wiosek i z zaścianków zjechało się dużo słuchaczy. Okupanci niemieccy nie czynili żadnych wstrętów. Kapelan wojskowy ks. Quiskampf, proboszcz z Gelsenkirchen, który się tam nauczył po polsku, asystował nawet przy mszy i wraz z całym ludem śpiewał « Boże, coś Polskę».



. . . Świeciły się z daleka pobielane ściany
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli . . .

Dwór w Cząbrowie, Mickiewiczowskie Soplicowo

NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ W ŻYCIU

W niespełna 20 lat po rocznicy mickiewiczowskiej — 12 listopada 1918 roku przeżyłem najszczęśliwszy i najpiękniejszy dzień w życiu. Co prawda byłbym niesprawiedliwy względem wielu osób, którym « dni piękne » mogłem zawdzięczać, ale ten wtorek 12 listopada 1918 r. był wyjątkowy, był ponad wszystkie inne. Odwiedziwszy z prezydentem Drzewieckim komendanta Piłsudskiego, który tylko co był przyjechał z Magdeburga i przejął władzę od Regencji, zwołałem na dzień następny nadzwyczajne posiedzenie Rady Miejskiej i tam, na Ratuszu Warszawskim, dane mi było ogłosić przed światem: « Polska jest niepodległa, Warszawa jest wolna od wszystkich okupantów ruskich, pruskich i rakuskich »! A spoza stołu prezydialnego spoglądał na salę portret Kościuszki, podziurawiony świeżymi, ale jak się nam wtedy wydawało **ostatnimi na zawsze** kulami nieprzyjacielskimi! — Czyż mógłbym kiedykolwiek o takim dniu zapomnieć! Czy pamięć o nim z łaski Bożej nie utrzymuje mnie dotąd jeszcze przy życiu!

ŚMIERĆ DRENTELNA

I nagle, nie wiem skąd i dlaczego, pamięć moja cofnęła się o lat sześćdziesiąt, do tragicznego zdarzenia w nieznanym mi nawet Kijowie, zdarzenia, o którym mi opowiedział mój kuzyn, Walens Brochocki, student tamecznego uniwersytetu, widz zdarzenia naoczny.

Działo się to w czerwcu 1887 czy może 1888 roku, przy uroczystym obchodzie 900 - ej rocznicy przyjęcia wiary chrześcijańskiej przez wielkiego księcia Włodzimierza. Sama idea upamiętnienia tej wiekopomnej rocznicy była najzupełniej słuszna, chociaż o podobnej, co przypadała w Polsce w 1865 r.— na terenie okupacji rosyjskiej nie godziło się rozgłośniej wspominać, była bowiem — łacińska i papieska... Ale obchodowi tej rocznicy chciano nadać charakter prawosławny i wszechsłowiański. Nastawali na to doradcy cara Aleksandra II — Katkow, redaktor « Moskiewskich Wiadomości», nieprzejednany wróg Polaków i Polski, tygodnik ks. Meszczerskiego « Graždanin » i Ober - Prokurator Świątobliwego Synodu — sławetny Pobiedonoscew. Największym atutem ks. Meszczerskiego i jego faworytów — bo był notorycznym homoseksualistą — była okoliczność, że sam cesarz czytał jego tygodnik in extenso i przyjmował go prywatnie mimo niechęci carowej Dagmary.

Pobiedonoscew, uczony prawnik i profesor akademii prawniczej, skąd czerpano najwięcej sądowników i wysokich urzędników administracyjnych « błagonadiożnych », przez swych adeptów i władzę nad Synodem — nadawał wiele lat ton rządom cara. Że nazwisko jego przetłomaczone z greckiego « Nikiforow » oznaczało « nosiciel zwycięstwa », ukuto z niego dowcipny łańcuszek wierszowany, usuwając po jednej sylabie w każdym wierszu. Brzmiało to tak:

«Pobiedonoscew dla synoda,
Biedonoscew dla naroda,
Donoscew dla carà,
Noscew dla siebià.»

DOKOŃCZENIE NA STR. 14



Dom Mickiewiczów w Nowogródku

POKUSA PRZEZWYCIĘŻONA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

Nie Konrad ma rację. Ma rację Ksiądz Piotr. Jak ongiś Dantego Beatrycze wiodła z kręgu w krąg coraz pełniejszego poznania, tak Mickiewicz wtajemnicza nas stopniowo coraz głębiej w treść tego słowa nade wszystko dostojnego: miłość ojczyzny. Istotą jej nie jest rząd dusz, ale służba. Nie pychą rośnie, lecz ofiarą całopalną. Gdyż nie ma większej miłości nad tę, by duszę kto położył za braci swoich. Ceną ofiary z własnego życia pokorny Ksiądz Piotr ratuje Konrada. Lecz tak pojęta służba jest zarazem królowaniem. Żaden zamach bogoburczy nie zdobędzie rządu dusz: temu, kto duszę swą kładzie za braci, zawierzają się dusze bratnie i **panem ojczyzny jest sługa jej sług.**

Gdyż **jedna** jest miłość i **jedno** jej źródło. Jeden duch ofiary. Izolując służbę ojczyzny od służby Bożej, podcina się jej korzenie. Na drogach wygnania nawrócony Konrad pojmie wreszcie, co znaczy kochać i cierpieć za miliony. Krok za krokiem będzie mu towarzyszyć wizja Chrystusa Ukrzyżowanego...

Aż w « Księgach Pielgrzymstwa» postulat służby narodowej utożsami się z najwyższym postulatem: z postulatem świętości. Gdyż odrodzenie Polski dokona się tylko na drodze i pod warunkiem duchowego odrodzenia jednostek. Żaden czyn zbrojny nie zastąpi owej decydującej szarży na podbój duchowych redut.

« Każdy z was — woła Mickiewicz — w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

« Zasiewajcie więc miłość ojczyzny i duch poświęcenia, a bądźcie pewni, że wyrośnie Rzeczpospolita wielka i piękna.......».

*) Pisane w r. 1943.

Maria Winowska

MELCHIOR WAŃKOWICZ

FRAGMENT Z KSIĄŻKI «ZIELE NA KRATERZE»

W KRAKOWIE PRZED PIERWSZĄ WOJNĄ

POD NAPOREM KSIĘŻYCA

KRAKÓW — pozostał w moich wspomnieniach nie takim, jakim był — tylko na pewno takim, jakim się wydawał. Gdzieś tam, zakryte przed nami płynęło realne życie Krakowa, jeśli wierzyć Nowaczyńskiemu — najobrzydliwszego « Pokrakowa » miast polskich, życie zduszonego kołtuństwa.

Dla nas Kraków — to był cudowny, realny splot naszej młodości z sędziwością miasta, z wiewiórkami na Plantach, gołębiami na placu Mariackim, kwitnieniem bzów, witrażami po ciemnych kościołach, szmaragdowością Błani, uciekających w seledyn kopca Kościuszki.

Jeśli życie w Krakowie było teatrem, to teatr był najczystszym, najrealniejszym, najbardziej twórczym źródłem życia. W dobie, kiedyśmy szukali rozwiązań dla Polski, był bliższy tego życia, niż otaczająca rzeczywistość Krakowa. Wychodząc z przedstawienia szliśmy plantami przez czarne tunele, sklepione cieniem olbrzymich kasztanów. Kraków hofratów, centusiów, emerytów, którzy byli suplentami i suplentów, którzy będą emerytami, Kraków wyszymlowanych poruczników kawalerii i zugsführerów spał o tej porze. Pokraków — miasto nie tyle forteczne, ile poforteczne, okaleczałe, ściśnięte w rozroście — parował wyobraźnią. Księżyc ogromny siadał nad kasztanami plantów, nad zjawiskową, nierealną, ustawioną na tę tylko noc dekoracją Bramy Floriańskiej, wystrzyganek kościoła Mariackiego, niemrawą zacisznością zaułków, ginących w cieniu Dominikanów, Św. Andrzeja, Św. Piotra i Pawła, Św. Idziego. Kiedy chodziłem po księżycu między ruinami egipskiego Luksoru, albo libańskiego Balbeku, albo azteckiej świątyni bożka Quetzacoatla — czemuż robiło mi się w duchu przewiewnie, prąd życia szedł przez krzyż pacierzowy, poszerzały się granice wszystkich pięciu zmysłów? Czemuż w miejscach, poświęconych oślepłemu pięciu się ku nieśmiertelności, ku przekazaniu się potomnym przez zasypujący piasek, zamulając wodę, rozkruszający mróz, rozrychlający wiatr — znagła podnosił się w ciele rozkoszny war krwi, w pamięci wykwitało wspomnienie włóczęg po mieście, które Boy nazywa lunatycznym, po mieście tak odciętym od naszego życia, że wisieliśmy w nim, niby w bani płynącej w przestworza, chodziliśmy po jego zaczarowanych ulicach, które też wydawały się « na niby », wytyczone na tę jedną noc.

Nie pomagały głupie figle: przewieszanie szyldu akuszerki optykowi, optyka szewcowi, a szewca — profesorowi zwyczajnemu Wszechnicy Jagiellońskiej, **Alma Matris** dostojnej, na której łonie tak oto baraszkowaliśmy niegodne szczenięta; nie pomagało wycie w nagle rozwarte lufciki domów, lepiących się pod Wawelem, urządzanie zgiełkliwych gęsich marszów. Miasto - grobowiec, miasto - lunatyk, miasto - dekoracja tymi czarnymi nocami okazywało się miasto - lunatyk, miasto - dekoracja silniejsze, niż nasza młodość. Ten czy ów krzykacz odłączał się nagle, niepostrzeżenie, siadał na ławce na plantach, patrzył w wyiskrzone niebo i skrzętnie na drugi dzień zatajał przed kolegami te zwariowane godzinki.

Od tego naporu patosu i księżyca uciekało się byle gdzie w świat realiów. Więc do knajpy. Pamiętam, jak kolega, z którym nabłądziliśmy tak bez sensu, dobiwszy do popularnego « Wołka » i zamówiwszy potężną «gicz wołową » kropnął jeden za drugim dwa większe, co na ogół nie było u nas w modzie, wybałuszył na mnie zlekka pomętniałe oczy i stwierdził z widoczną ulgą, wskazując na wnoszoną górę mięsa:

— To jest, bracie, wół. Nie, ale czy to rozumiesz? Waży — tyle i tyle; wymiar ma — taki i taki; póki świeże — krwawi, kiedy za długo leży — cuchnie; wpuścisz do brzucha — syto; polać go sznapsem — lubi; i ja lubię (panie starszy — jeszcze jeden dziecinny, wzmocniony z kropelkami). Re-a-lium... rozumiesz? Re-a-lium — wiesz, co to znaczy? Nie grobowiec Kazimierza Wielkiego. Umarł, to niech po nocach nie łazi i da nam żyć. Prosit... Ale, co ty rozumiesz... ty piszesz księżycową sonatę... słoń a sprawa polska... niepodległość środkiem czy celem... Kazimierz Wielki, rozumiesz... ichtiozaurus, a wy — żaby nadymające się na ichtiozaurusa... Ichtiozaurus nie żyje, to niech nie straszy... to niech do muzeum... A na żaby są bociany... szybko was wyzbierają oho... nie ma strachu... Panie starszy — jeszcze raz dziecinna wzmocniona i tego, porcja... tego...

— Gulaszu panu dobrodziejowi? —



Kraków: Widok na Rynek z pomnikiem Mickiewicza

pomaga wybrnąć z obstalunku kelner.

— Nnie... porcja księżyca ugotowanego r-r-r-ealnie, z cebulką.

*

Częściej jednak leciało się ostatnim tchem z przedstawienia, nie patrząc na wygłupiający się księżyc, aby zdążyć przed zamknięciem bramy. Mieszkałem na Szewskiej 21 z Kaziem Wyszyńskim, leaderem młodzieży narodowej, później kolejno radcą ambasady w Moskwie i w Berlinie, zmarłym na kilka lat przed wojną. (Rodzinny Lublin nazwał jego imieniem ulicę). Kazio Wyszyński wcale nie studiował, a i czytał niezbyt wiele. Całymi dniami chodził po pokoju i mruczał do siebie.

— Kazik, o czym myślisz?

Okazywało się, że o czymś księżycowym, i ichtiozaurycznym. To miał kłopot z konstytucją przyszłego państwa polskiego, to z jego cłami, to z jego sojuszami. Zżywał się na te tematy, pasował się, jak z zupełnie konkretnymi realiami, które jutro zaraz trzeba rozstrzygać.

Pozatym lubił towarzystwo najgłupszych kolegów, miał takich swoich Lubliniaków. Lubił ich ploteczki, drobne kłopoty, sam lubił zadrwić — był to drugi Kazik, ćwok lubelski i brat Łata.

ROZMNOŻENIE DWU SZÓSTEK

Któregoś dnia zdążywszy tuż przed szypryą, skonstatowałem, że Kazik obłożył się ośmiu drągalami, którzy wszystko w domu wyżarli. Nimem się dogadał, skonstatowałem, że wszystkie knajpy już zamknięto, a zresztą zapytuję, z czym miałem iść? Było tuż przed pierwszym — całe drańtstwo, nie wiem czy naprawdę, nie miało ani grosza czy udawali, że nie mają. Był całą noc otwarty niedaleko na rogu handelek, a ja miałem w kieszeni dwie szóstki, co by starczyło na piklinga i dwie buły, ale szpyra, którą się płaciło za otwarcie bramy stróżowi, szpyra-święta rzecz — wynosiła szóstkę. Koledzy więc radzili, abym zapłacił szóstkę w tę, poszedł postać pod handelkiem, nawąchał się, bo to syci i wrócił weftę, płacąc drugą szóstkę.

Sapałem z wściekłości na to bractwo nażarte moim serem, moją bryndzą, moimi chlebkami Grahama, obżłopaną moim mlekiem, bo zjedli i to, co miało być na śniadanie i wywęszyli jakieś żelazne konserwy; nic nie odpowiadając, począłem wiązać sznurowadła od butów, ręcznik, pas, szelki, stary krawat. Oglądając te wyczyny, robili fachowe uwagi, że to nie wytrzyma ciężaru mego ciała. Któryś z medyków rozwinął teorię, że chociaż nasz pokój jest tylko na drugim piętrze, to jednak, jeśli zwieszę się pionowo w dół i równiutko łbem spadnę na asfalt, zakończę życie pewnie i bez cierpień z mniejszymi kłopotami, jak urywając się ze stryczka.

Nie reagując, istotnie podszedłem do okna i rozwarłem szeroko; zaraz życzliwi powyścibiali głowy, badając, czy asfalt dostatecznie twardy i przestrzegając, żebym nie wylądował w skrzynkę ze śmieciami, bo się będę dłużej męczyć.

Na dole szły trzy męskie postaci, szły dosyć chwiejnie; gwizdnąłem do nich sygnał z kuranta; zatrzymali się.

— Czy panowie akademicy?

— A bo co?

Mieliśmy pokój o dwuch oknach. Osiem głów z obu okien wysunęło się z ciekawością.

— A bo co? — pytają ci na chodniku, widząc ten tłum luda w oknach.

— Niech koledzy się odsuną, bo on zaraz skakać będzie — radzi ktoś troskliwy.

— Niech koledzy — mówię z godnością — spuszczając swój skomplikowany sznur z uwiązanym na końcu papierkiem, w który zawinąłem owe dwie szóstki — będą łaskawi przynieść piklinga i dwie bułki, bo nie mam na szpyrę.

Wzięli i poszli. Mija czas długi, a potem jeszcze dłuższy i kretyni dławią się ze śmiechu, jak to jakimś cwaniakom podarowałem dwie szóstki.

Zrezygnowany, przestałem wartować przy oknie, kiedy zagwizdano kuranta. Ci sami. Jeden, który «pod burką wielkiego coś chowa », każe spuścić sznur. Sznur się napręża ciężko, windujemy z troską, aby się nie urwał. Rozwijamy szary papier, a tu osiem piklingów, szesnaście bułek, ileś tam masła, sera, bryndzy, salami...

I bilet: S a l o F r i d i k e r, l e k a r z d e n t y s t a.

I dopisek: « I ja też byłem akademikiem ».

Ukłonił się i poszedł.

— Panie, a któż tu panu ten ząb partolił? — interesował się potem dr Merunowicz, u którego stale się leczyłem.

— Musiałem — powiadam — dług honorowy. I tak skąpo spłacony. Prosiłem wprawdzie o jedzenie « na jeden ząb », a dostałem na dwieście pięćdziesiąt sześć, na jedzenie pełnymi gębami przez wszystkie osiem głów, sterczących z okien.

Było co tam z nauki w tym nygusowaniu i politykowaniu?

Sam jestem zdziwiony, jak to się zdarzyło — ale było.

OPUKIWANIE ŚWIATA

Biegło się do Biblioteki Jagiellońskiej i stawało się w zaczarowanej krainie Stu Dróg. Każda poczynała się z książeczki drobnej, z monografii pachnącej drobnym zainteresowaniem, jak ścieżka polna pachnie drobnym oczkiem kwiecia. Wnet jednak ścieżka wpada w drogę, droga w trakt, spiętrzała się sarabanda traktów, po której z hukiem sunęły wielomotorowe kwestie.

Byle stłumić pierwszy upadek ducha i wdrapać się do kierownicy takiego kamionu, byle się nie dać speszyć, że, kierowany nieumiejętną ręką, zatacza się do rowów, już ci poczynały pod rękę iść przekładnie i sprzęgła, manometry, tachometry, amperometry.

Katalogi kartkowe wybiegały jak wesoły tłum robotników, wytyczający zielonymi palikami kierunek; spisy rzeczy podstawiały zgięty kark, aby ułatwić wdrapanie się na najpotężniejszy kamion; a wtedy indeksy, dobre duszki domowe każdego dziełka, przychodziły poufale i zdradzały tajemnicę gospodarza.

Z tych opukiwań Polski i świata wynosiła kreda wykładowców na tablice audytoriów kolumny cyfr, które znaczyły nieomylnie zbliżającą się katastrofę.

Melchior Wańkowicz

KAROLINA LANCKOROŃSKA

Grób Garczyńskiego w Awinionie

(Notatka)

BYŁO to w roku 1926, w lecie, gdy zwiedzałam Awinion w poszukiwaniu za pierwowzorami grobowców ostatnich Piastów na Wawelu. Lato było upalne, to też gęsty kurz zalegał przedmieścia, gdy późnym popołudniem wędrowałam na dość odległy od średniowiecznego miasta cmentarz. Odnalazłam dozorczynię i zapytałam o groby sprzed stu lat.

— Kogo Pani szuka?

— Chciałabym odnaleźć grób Polaka, Stefana Garczyńskiego.

Zaprowadziła mnie do starej części cmentarza; stanęłyśmy nad kratą, z której bujnie wyrastały bezkształtne, dzikie krzaki wawrzynu.

— C'est ici.

Nie mogłam dostrzec żadnego napisu. Dopiero po chwili zauważyłam, że zza krzaków i chwastów widnieje tablica, przymocowana do muru cmentarnego, zupełnie zarośnięta mchem. Odchyliwszy gałęzie udało mi się odcyfrować imię i nazwisko, lecz reszta długiego napisu nie była czytelna Prosiłam więc o uporządkowanie grobu, o odczyszczenie tablicy i krat. Żal mi było dzikiego wawrzynu, chętnie bym go była zostawiła, skoro sama przyroda uczciła nim zapomniany grób poety, lecz trzeba było go wyrwać, bo rozsadzał kraty i niszczył tablicę.

Nazajutrz, pod wieczór, wróciłam na cmentarz. Grób był uporządkowany, a na dużej, białej tablicy marmurowej widniał napis:

D. O. M.
STEPHANUS GARCZYŃSKI
VATES
Polonorum arma virosque cecinit
MILES
equitum Posnaniensium
centurionis
vices gessit
EXUL
patria a tyranno oppressa
*Obiit Avinione die 20 septembris 1833 *)*

Poniżej mniejszymi literami krótki napis polski:

STEFAN GARCZYŃSKI
JAZDY POZNAŃSKIEJ PORUCZNIK
KRZYŻA WOJSKOWEGO KAWALER,
ZMARŁ W AWINIONIE 20 WRZEŚNIA 1833

Stałam długo. Nie mogło być wątpliwości, kto ten napis ułożył, kto połączył zwrot wergiliuszowy z tym tak wymownym zestawieniem trzech słów: Vates — Miles — Exul, Wieszcz — Żołnierz — Wygnaniec... Przypomniał mi się żywo wzruszający, pełny poświęcenia stosunek Adama Mickiewicza do chorego Garczyńskiego. Odnajdywałam w owej chwili w swej pamięci długie ustępy listów o uciążliwej podróży z ciężko chorym z Paryża do Awinionu, o wyczerpującej pielęgnacji umierającego, przybyciu Delfiny Potockiej z pomocą, wreszcie o śmierci Stefana.

Wtem poczciwa dozorczyni przerwała mi zapytaniem, czy jestem z jej pracy zadowolona. Prosiłam, by jeszcze zasadziła róże białe i czerwone. Żachnęła się.

— Ce ne sera pas du tout joli! (To przecież nie będzie ładnie). Róże muszą być w jednym kolorze, albo białe albo czerwone.

Skapitulowała dopiero po dłuższych perswazjach.

Gdy przed wyjazdem przyszłam po raz ostatni, róże były zasadzone, a ja w samotnym skupieniu myślałam o tej przyjaźni, która była tak silną, że Przyjaciel przerwał pracę nad «Panem Tadeuszem», by otoczyć chorego opieką.

Dominowało zaś wówczas we mnie uczucie szczęścia i wdzięczności głębokiej, że ten okres naszych dziejów już w przeszłość się zapadł, że już grzebać nie musimy poetów-wygnańców zdala od « partia a tyranno oppressa ».

DOKOŃCZENIE NA STR. 14

Kolędy staropolskie

O, nędzna Ewo!

O nędzna Ewo! O mizerna Ewo,
Cóżeś ty uczyniła?
Wszystekeś świat zdradziła!

W rajuś miała, coś jeno chciała.
Rozkoszyś zażywała
Boś wszystkiego dość miała.

Uczesałaś się, przymuskałaś się,
Chodziłaś jak łąteczka
A nigdy przez wianeczka.

Bogaś wzgardziła, raj opuściła
Nieboga, nieboraczko
Zapłaczesz sobie oczko.

Uszargana, ochlastana
Nie kiedy będziesz chciała
Robić będziesz musiała.

Zdejm manele, pójdź po kądziele,
Nieboga, nieboraczko!
Zapłaczesz sobie oczko.

Zdejm forboty i pójdź do roboty,
Weźmij motyczkę, także prześliczkę
Zarabiaj sobie chleba
Boć go Bóg nie da z nieba.

Nieboga, Nieboraczko!
Zapłaczesz sobie oczko!

Ach! zła Ewa narobiła

Ach! zła Ewa narobiła,
Kłopotu nas nabawiła,
Z wężem sama rozmawiała,
I jabłuszka kosztowała,
Narobiła.

Adam z raju wypędzony
Zostawił płód zarażony
Ale go z kłopotu tego
Matka syna przedwiecznego
Wybawiła.

Robak chytry zwiódł mężatkę,
Za tę winę sam wpadł w klatkę
Bo mu głowę podeptała
Która od wieku przyjść miała
Białogłowa.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

PASTORAŁKA

Chwalmy szopę chruścianą
Chwalmy strzechę słomianą —
dziwnieje, jaśnieje.

Łuna płonie i zorze
Stało się Słowo Boże
w Betlejem, w Betlejem.

Gwiazda wzeszła znad wierzej
Przybieżeli pasterze
z noclegu, z noclegu.

Poklękali zdziwieni
W smudze jasnych promieni
na śniegu, na śniegu.

Wiatr im wrota uchylił,
Nieśmiertelny zakwilił
Rorate coeli!

I parobcy u proga
Na własne uszy Boga
słyszeli, słyszeli.

Chwalmy grodzone ściany
I daszek poszywany —
Królewskie mienie.

I najczystszą Niewiastę
Z lichej stajni pod miastem
za Boże Narodzenie.

OŁTARZ

Popłoszone aniołki kłębią się wokół ołtarza,
Dmąc w puzony srebrzone nad biedą Pańskiego stołu.
Blaszany obłok stopniał od westchnień stojącej na straży
Hołoty betlejemskiej: pasterzy, osła i wołu.
Głęboką nawą chorągwie
Jak żagle na zatoce,
Wieją przez pustkę żyzną
W otwarte do nieba dźwierze.
Tu pachnie kora brzozowa,
Tu gołąb skrzydłami trzepoce,
. . . .
Rybacy przed połowem
Zasiedli do wspólnej wieczerzy.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

CHOINKA

Osrebrzyła się śniegiem
zwisająca u woza
ta choinka Boża.

Zaliwała się łzami,
że już nie jest z siostrami,
ino wiezom ją kędyś
z przyciętymi gałęźmi.

A gospodarz zacina
siwe konie do chaty —
przed chałupą dziewczyna
wyśmignęła do taty.

Oj, dziwuje się córa
choinkowej urodzie,
co się w oczach dziewczęcych
tak przegląda jak w wodzie...

Wyciągnęli choinkę
aż sięgnęła pod pułap —
stary Gabryś przycupnął:
oj, popatrzę się krzynkę...

Wystroili choinkę —
dumna stoi — śliczności...
świecą cacka i Anioł
patrzy se z wysokości.

Jakaś radość poszumna
roztoczyła się w izbie,
migotliwa i tłumna
siada cicho na przyźbie...

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

O LISTACH

NA święta otrzymuję sporo kopert z życzeniami. Mówię kopert, ponieważ nie można tego nazwać listami, całą ich treścią są bowiem dwa drukowane słowa: «merry Xmas». Przysyłają je nie tylko Anglicy, mistrzowie życia ułatwionego i nudnego, ale i Polacy, mający dużo zrozumienia dla tych wynalazków, których matką jest nie tyle potrzeba, ile lenistwo. W następnym pokoleniu, należy się spodziewać, standard planowania podciągnięty będzie na wyższy level (mówiąc językiem Lądynian): każdy złoży na poczcie wykaz znajomych z datami i poczta będzie dostarczać ujednoliconych życzeń i pozdrowień w odpowiednich terminach. Zapewne przyjmie się też droga telewizyjna: dasz fotografię i w odpowiednim czasie ukaże się ona na ekranie odpowiedniego znajomego. W ten sposób skończy się raz na zawsze epoka listów osobistych.

Już obecnie niewiele do tego brakuje. List jako odrębny rodzaj literacki zamarł. Ludziom nie tylko nie chce się pisać dłuższych listów, ale i nie potrafią wyrazić na piśmie swoich osobistych wrażeń. Jeżeli piszą coś, jest to najczęściej powtórzeniem obserwacji prasowych, bezosobistą kliszą, albo nieudolnym komentarzem w żargonie dziennikarskim. Analfabetyzm duchowy idzie w parze ze znikaniem analfabetyzmu formalnego. Tak jak nikt prawie nie potrafi już sam śpiewać ani sam grać, bo ma « radiogram », tak nie potrafi sam pisać, bo ma na wszystko drukowany wzór.

List ratuje jeszcze w naszym społeczeństwie... Żelazna Kurtyna. Jedynie ciekawe listy, to listy ludzi prostych do krewnych z tej strony Kurtyny. Tam jeszcze znaleźć można żywe wrażenie, «oryginalne podejście », cierpki ale odkrywczy humor, śmiałą ale treściwą bo wywołaną rzeczywistą potrzebą nie konwenansem, przenośnię. Tam jeszcze kwitnie sztuka aluzji i omisji, tam kontrast zastępuje płaskie sprawozdanie, a epicki skrót monotonię reportażu. W paru prostych i niezawsze ortograficznych zdaniach znaleźć w takim liście zza kurtyny można cały obraz jakiejś wsi czy przedmieścia, cały wykład filozofii społeczno - politycznej. I ileż informacji! Czytam świeżo w jednym z takich listów: « A przed zimo lepiej może i nie wracać. bo teras o opał ciężko. Zaczęliśmy rozbierać na drzewo ten obóz, co go Niemcy w .... wybudowali, ale widać że za wcześnie, bo teras tam znowu pełno ludzi »...

List zza kurtyny dlatego zapewne jest jeszcze wciąż prawdziwym listem, czyli dziełem sztuki, że jest zupełnie wolny od wpływu słowa masowo drukowanego. Mówi on o tym, o czym prasa nie pisze, używa pojęć, których unika niewolnik pióra, żyje w świecie skreślonym prewencyjnie przez cenzurę. Wytwarza więc własny styl, wraca do roli odrębnego rodzaju literackiego. Aż dziwnie pomyśleć, że cała prasa rozwinęła się właściwie z listu, że ta w milionach identycznych egzemplarzy wydawana zadrukowana płachta, którą ogromna większość odbiorców czyta nie z zainteresowania ale z przyzwyczajenia, jest potomkiem subtelnej, indywidualnej karty, pokrytej czyimś pismem, oryginału przeznaczonego dla jednego odbiorcy. A jednak coś z krwi listu płynie w żyłach gazety. Jedną z tajemnic powodzenia pisma jest, żeby czytelnikowi przypominało list, żeby miał to poczucie. że to jest pisane nietyle **dla** niego ile **do** nie-

WALERIAN CHARKIEWICZ

Rówieśnicy sobie nierówni

WILNO czasu Mickiewicza było miastem niepospolitym pod względem wyjątkowego napięcia duchowych sił polskich i rozkwitu nauki polskiej. Uniwersytet Wileński był wówczas nie tylko dobrze zorganizowaną uczelnią, nie tylko głównym ośrodkiem kierowniczym wszystkich prac naukowych i oświatowych, ale jednocześnie i wielkim ogniskiem polskiego ducha, który nawet profesorów - cudzoziemców przerabiał na gorących Polaków — młodzieży zaś ułatwiał znalezienie dróg prostych, choć nie najlżejszych...

To, co się działo wówczas na Uniwersytecie Wileńskim, było i jest przedmiotem badań wielu historyków, wydobywających blaski i cienie przeszłości. Wileński ruch filomacki, ruch romantyczny, ruch wreszcie bez nazwy, zrodził się w starych murach Almae Matris Vilnensis zupełnie nieoczekiwanie i od pierwszego dnia swych narodzin posiadał wprost żywiołową siłę.

Lecz oto rzecz osobliwa: tak, jak my zwracamy się myślą do wileńskiej młodzieży akademickiej sprzed kilkunastu lat, szukając wzorów szczerego patriotyzmu i świadomej walki o godność i niezależność narodową — tak samo do tegoż okresu z uśmiechem zadowolenia i otuchy zwracają się ci, co pragną klęsk Polski, co skrzętnie notują każdy przejaw zdrady narodu ze strony Polaków, ulegających rusyfikacji.

Uniwersytet Wileński początku XIX wieku wyłonił nie tylko prąd, uzdrawiający naród, lecz i prąd zabijający narodowość.

Ruch wileński, którego przedstawicielem i symbolem stał się Adam Mickiewicz, był wybuchem wulkanu. Ale wulkan nie tylko wyrzuca w górę oślepiające blaski, lecz i zalewa jednocześnie najbliższe okolice pełzającą, zabójczą lawą. Taką lawą, miażdżącą wszystko, co polskie, osuszającą nawet ożywcze źródło, jakim jest religia — był prąd likwidacji unii kościelnej, który był późniei reprezentowany prawie wyłącznie przez wychowanków Uniwersytetu Wileńskiego.

Nie mają te dwa prądy nic wspólnego ze sobą oprócz czasu i miejsca, lecz te warunki zewnętrzne, zaiste bardziej, niż przypadkowe, dają dużo do myślenia. Dziwny, dziwny... zbieg okoliczności!...

Studenci Wydziału literatury i sztuk wyzwolonych, rozpoczynając od koleżeńskiego zżycia się ze sobą pod znakiem miłości nauki, cnoty i prawdy i od bawienia się w poetów, stworzyli nowy kierunek literacki, stali się awangardą walczącego narodu, przeszacowali wartości etyczne i doszli do prób zorganizowania zakonu... Studenci Wydziału nauk moralno - politycznych, ściślej — teolodzy, wychowankowie Seminarium Głównego, rozpoczynając od studiów teologicznych, uwieńczonych dyplomami magistrów i doktorów św. teologii, wystąpili do walki z katolicyzmem, niszcząc wszelkie przejawy kultury polskiej, zlikwidowali Unię kościelną na Litwie i Białorusi i doszli do zamiarów zlikwidowania Kościoła rzymsko - katolickiego w Polsce za pomocą żandarmów rosyjskich...

Plejadę filomancką reprezentuje tytaniczny Adam — « **najwyższy naczelny żołnierz Polski wieczystej** », jak go pięknie nazwał prof. St. Pigoń; — bojownik, który się nazywał « Milion » nie tylko dlatego, że za miliony myślał, czuł i cierpiał katusze, lecz i dlatego, że stał na czele milionów i miliony prowadził...

Plejadę rusyfikatorów reprezentuje również tytaniczna postać — Józef Siemaszko — « apostoł siewiero - zapadnego kraja », wódz naczelny Polaków, wyrzekających się polskości i greko - katolików przeobrażających się we wrogów katolicyzmu, on który z całą słusznością mógłby się nazywać « Milionem », bo



Wilno: Kaplica św. Kazimierza

przeszło milion unitów zmusił do przyjęcia prawosławia, milion Polaków oderwał od Polski, za milion odpowiedzialność wziął na siebie jeśli nie wobec ludzi, to wobec historii i Boga...

Mickiewicz i Siemaszko...

Różniący się wiekiem o jeden dzień tylko (Mickiewicz urodził się 24 grudnia a Siemaszko — 25-go), obaj pochodzący z drobnej, ale rzetelnej szlachty (Mickiewicz herbu Poraj, Siemaszko herbu Syrokomla), obaj odznaczający się iście ognistym temperamentem, cudem wyniesionym spod grudniowych śniegów, przeszli przez kuźnię Uniwersytetu Wileńskiego, hartując swe charaktery na stal, z której jeden zrobił miecz, a drugi nóż skrytobójczy.

Wstępują na Uniwersytet prawie jednocześnie: Mickiewicz studiuje w latach 1815-1819, Siemaszko w 1816-1820, gdyż Seminarium Główne zostało uruchomione po wojnie właśnie w r. 1816. Czy znali się osobiście? Prawdopodobnie tak, bo przecież wspólnie słuchali wykładów z zakresu filozofii, filologii i literatury, musieli więc spotykać się często w ciągu trzech lat.

Rok 1822 był decydujący w życiu obu niepodobnych do siebie rówieśników. Pierwszy zbiorek młodego geniusza, wydany w tym roku, rozpoczynał nową erę w literaturze polskiej. Wyjazd w tymże roku młodego kapłana do Petersburga na stanowisko asesora Kolegium grecko-unickiego otworzyło przed nim nieoczekiwane perspektywy kariery i zdrady.

I oto dwaj wychowankowie Uniwersytetu Wileńskiego wyszli na drogi, którymi mieli iść przez całe życie. Najbliższym ważkim etapem stał się rok 1827, gdy obaj wypowiedzieli się, jako autorzy dwu odmiennych dzieł.

W końcu 1827 Mickiewicz napisał Konrada Wallenroda W tymże czasie car Mikołaj I otrzymał przez ministra Szyszkowa « zapiskę » prałata Siemaszki, który podał plan podstępnego zlikwidowania unii, podejmując się wobec Kościoła katolickiego roli Wallenroda. Car ucieszył się szczerze, pisząc do Szyszkowa: « Z wielką przyjemnością czytałem memoriał .. Cieszę się bardzo, że mamy takie narzędzie... Proszę mu powiedzieć o tym i wyrazić moje zadowolenie »...

Jaki los spotkał « Konrada Wallenroda », wiemy. Żywy Konrad Wallenrod- który swój historyczny memoriał złożył 5. XI. 1827, już 6-go grudnia tegoż roku otrzymał krzyż wysadzany brylantami i 100 rb. miesięcznie « stołowych » za « wyjątkowe zdolności, gorliwość i nieskazitelną prawość »... Po dwóch latach, t j. w r. 1829 Siemaszko już był biskupem...

Drogi dwóch znakomitych (z różnych względów) uczniów Uniwersytetu Wileńskiego poszły w całkiem przeciwnych kierunkach i różny pozostawiły ślad w dziejach narodu polskiego. Myśli ich i uczucia, tak przecież odmienne, nie stykały się ze sobą w toku ich działalności, choć znajdowały wspólny kierunek, skierowując się do... cudownego obrazu Najświętszej Marii Panny Ostrobramskiej!...

«Panno Święta, co w Ostrej świecisz
[Bramie...
...Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny
[łono»...

Modlił się poeta i marzył o powrocie do Wilna. do stóp Matki Boskiej Ostrobramskiej. Pod Jej cudowną opieką niezawodnie pragnął spocząć po długiej tułaczce..

Józef Siemaszko, prawosławny metropolita wileński, pragnął tego samego. ale w sposób nieco inny.

Siemaszko z biegiem czasu coraz bardziej ulegał manii prześladowczej, — był przekonany. że zostanie zamordowany przez Polaków. Szczególny niepokój ogarnął go w okresie zbliżającego się powstania styczniowego W jego pamiętnikach z r. 1860, znajdujemy taką notatkę:

«W lecie bieżącego roku wykryto w naszym kraju znamienny buntowniczy ruch, przyniesiony do nas z Polski. Mieszkałem wówczas w trynopolskim zamiejskim domu, w zupełnej samotności. Wszystkiego można się było spodziewać. Ale byłem

DOKOŃCZENIE NA STR. 14

go. Stąd potrzeba w gazecie i plotek i żartu i szczerego oburzenia. a przede wszystkim wiadomości o dawnych znajomych. Taką umiejętnością listowego pisania tłumaczy się t.zw. zmysł dziennikarski.

Jednym z najjaskrawszych przykładów owego zmysłu jest list Sobieskiego do Marysieńki, datowany «W namiotach wezyrskich 13 septembra 1683 roku » a zawierający pod koniec taką uwagę « List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej ». Gdyby Sobieski był władcą współczesnym, toby zapewne nie napisał barwnego listu do żony, natomiast do dyktafonu podałby artykuł: « Jak ocaliłem chrześcijaństwo » i zarobiłby na tym tyleż, co na zdobycznych namiotach. Listy piszemy współcześnie tylko wtedy, kiedy nam się mają z jakiegoś powodu opłacić. a robienie wysiłku umysłowego za darmo. a nawet z dodatkowym kosztem paru groszy na znaczek wydaje nam się prawie romantyczne.

Tymczasem..... Tymczasem nie mamy dostępu do prasy obcej z naszymi sprawami. Cudzoziemcowi nie możemy dać gazety. Ale dlaczego nie dajemy listu? Każdy prawie Polak ma w jakimś kraju znajomych, a ci znajomi mają swoje, choćby najmniejsze, kółko znajomości. Przeciętny człowiek, jak to ostatnio raz jeszcze w bardzo wyrazisty sposób podkreślił wynik wyborów amerykańskich, nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do tego, co pisze gazeta. Bezosobowy artykuł mało na niego działa Inaczej list. Za listem stoi żywy człowiek. którego wiemy jak ocenić. którego słowa nie są opłacone wierszowym i płyną nie z potrzeby zarobku. ale z przekonania. Parę słów w liście do cudzoziemca może zrobić znacznie większą propagandę, niż cykl artykułów w dzienniku Ba. nawet listy do redakcji, choćby dlatego, że są podpisane nazwiskiem i nie opłacone honorarium czyta ogół z większym zaufaniem niż artykuły. A my Polacy nie piszemy listów. Zrzekamy się tego najcelowszego środka propagandowego ma'ąc tak mało innych środków Jestem ciekaw kto z was. czytając te słowa. w ostatnim roku napisał bodaj jeden list do cudzoziemca z jednym bodaj zdaniem służącym sprawie polskiej.

Jesteśmy emigracją wyjątkowo liczną i w dużej większości « oblataną ». Mimo to czekamy. żeby « propagandę » robił pozbawiony środków materialnych rząd i krytykujemy surowo, że nic się w tej sprawie nie robi. Sami natomiast co robimy? Gdzież są te setki tysięcy listów drążących, jak setki tysięcy kropel. skałę obojętności i tępoty społeczeństw zachodnich? Nowy Rok jest taką piękną po temu okazją...

List jest ważny nie tylko w stosunku do cudzoziemców i nie tylko za Żelazną Kurtyną. W naszym wzrastającym rozproszeniu nabiera on znaczenia głównego łącznika między Polakami. A przy tym list jest jedyną autentyczną formą twórczości literackiej dostępną każdemu Ile traci kultura przez zanik sztuki pisania listów! Słowacki. którego rocznica przypada w nadchodzącym roku. nie wyraził w żadnym poemacie tyle uczucia co w tym prostym zdaniu z listu do matki: « Cebu'ki tulipanowe kwitną wszystkie lecz ty czy masz ogródek? Może ci mróz ciągły wszystko zważył, a ty bez bukietów na komodzie..». Albo jakaż liryka mówiłaby z taką siłą. jak te słowa zmarłego świeżo wielkiego krytyka Zygmunta Wasilewskiego z listu pożegnalnego do syna. dyktowanego przyjacielowi przez ociemniałego pisarza: « Mam nawet w pokoju staroświecki zegar. bijący srebrzyście kwadranse i godziny mogę więc liczyć kroki prowadzące mnie w wieczność»...

Wojciech Wasiutyński

KALENDARZ

GRUDZIEŃ 1948

19. niedz. — IV-ta ADWENTU
— Urbana, Tymoteusza
20 pon. — Teofila, Bogumiły
21. wtor. — Tomasza Ap., Seweryna
22. środa — Zenona, Honoriusza
23. czwtk — Wiktorii, Sławomira
24 piąt. — Wigilia Boż. Narodz.
— Adama i Ewy
25. sob. — BOŻE NARODZENIE
— Anastazji

26. niedz. — Szczepana, 1-go Męcz.
27. pon. — Jana Ap. i Ewang.
28. wtor. — Młodzianków mm .
29. środa — Tomasza z Canterbury m.
30. czwtk — Eugeniusza
31. piąt. — Sylwestra I. pap.
1. stycz sob. — NOWY ROK 1949

IV NIEDZIELA ADWENTU

Myśl przewodnia liturgii niedzielnej. Ostatnia niedziela Adwentu zapowiada nam już bliskie ukazanie się Zbawiciela, jako Miłosierdzia, ale też przypomina przyjście Sprawiedliwości na końcu świata. Wszystkie teksty mszy św. z tej niedzieli odnoszą się do tych obu zdarzeń.

LEKCJA z I. listu św. Pawła do Koryntian 4, 1 - 5. Każdy chrześcijanin jest sługą Chrystusa i szafarzem tajemnic Bożych, a od szafarza wymaga się, by był wierny i uczciwy. Sędzią jednak będzie Bóg, bo nasze, ludzkie sądy o bliźnich bywają często zawodne.

EWANGELIA według św. Łukasza 3, 1 - 6. podaje nam z historyczną ścisłością że w 15-ym roku panowania cezara Tyberiusza, kiedy prowincjami w Azji Mniejszej rządzili wymienieni przez św. Łukasza władcy miejscowi, Jan, syn Zachariasza, na zlecenie Boże przebiegał ziemie położone nad rzeką Jordanem i głosił «chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów». Zgodnie ze słowami proroka Izajasza św. Jan Chrzciciel był owym «głosem wołającym na puszczy», który wzywał: «Drogę gotujcie dla Pana, Jemu prostujcie ścieżyny. Niech wszelki parów zapełnią, szczyt każdy zniżą i wzgórze, niech drogi krzywe sprostują i chropowate wygładzą... A wtedy człowiek wszelki ujrzy zbawienie».

Przypomnienie. W wigilię Bożego Narodzenia (piątek 24 grudnia) obowiązuje post ścisły, od którego nie ma żadnej dyspenzy. Wszystkie posiłki w tym dniu (jeden do sytości i dwa lekkie) winny być bezmięsne.

OKRES BOŻEGO NARODZENIA

Zaczyna się od wigilii Bożego Narodzenia i trwa do końca oktawy Trzech Króli. Przypomina nam przyjście na świat Zbawiciela i ma charakter szczególnie uroczysty. Treścią dogmatyczną tego okresu jest wielka **tajemnica Wcielenia Słowa Bożego, zrodzonego** przed wiekami z Ojca, które się rodzi na ziemi w naturze ludzkiej. Tajemnicę tę uzupełnia nasza łączność z Chrystusem, który sprawia, że dusze nasze rodzą się do życia Boskiego. Tak więc obchodzimy uroczystość potrójnych narodzin Słowa Bożego zrodzonego wiecznie, Syna Człowieczego zrodzonego z Marii Panny w czasie i ustawicznego wzrastania Ciała Mistycznego — Kościoła w ciągu wieków jego istnienia.

Historycznie biorąc: około roku 747 - 749 według rachuby rzymskiej cezar rzymski August zarządził spis ludności w Palestynie. Udający się na ten spis do rodzinnego Betlejem św. Józef zabrał ze sobą swą małżonkę Marię, która oczekiwała narodzin zapowiedzianego Dziecięcia. W czasie podróży powrotnej Maria Panna w przydrożnej stajni wydała na świat Dziecię, które okryła sianem i złożyła w żłobie. Pasący niedaleko swe trzody pasterze wezwani przez Anioła, przybywają aby złożyć hołd Nowonarodzonemu. Po ośmiu dniach, zgodnie z religijnym zwyczajem, Syn Marii został obrzezany i otrzymał imię Jezus, jak nakazał Archanioł Gabriel przy Zwiastowaniu. Lecz nie tylko Żydzi złożyli przez pasterzy hołd Królowi Wieków, ale też i narody pogańskie przez swych przedstawicieli, Trzech Mędrców uderzyli czołem przed Dziecięciem.

Wobec grożącego Dziecięciu niebezpieczeństwa rodzice zabierają Je i uwożą do Egiptu, skąd wróci dopiero po kilku latach.

Liturgię tego okresu charakteryzuje wielka radość, panująca w Kościelę że «Pan się nam narodził». Kościół nakłada kapłanom szaty białe i znów brzmi radosne «Gloria in excelsis Deo». W kościołach polskich rozbrzmiewają nasze kolędy, których w takim bogactwie nie posiada prawie żaden naród katolicki.

UROCZYSTOŚĆ NARODZENIA PAŃSKIEGO

Każdy kapłan może w to wielkie święto odprawić trzy msze św., z których każda jest inna.

Pierwsza msza odprawiana o północy nazywa się **mszą anielską** (u nas powszechnie «pasterką»). Ta msza przypomina nam szczególnie tajemnicę doczesnych narodzin Zbawiciela w stajence betlejemskiej. Teksty mszalne przypominają nam ustępy z proroctw. Lekcja z listu św. Pawła do Tytusa przypomina o ostatecznym przyjściu Zbawiciela na sąd. Ewangelia według św. Łukasza (2, 1 - 14) opisuje narodziny Jezusa oraz hołd pasterzy. Modlitwy mszalne są pełne dostojeństwa i piękna.

Druga msza odprawiana o świcie nazywa się **pasterską.** W Rzymie pierwsza msza św. była odprawiana w bazylice Matki Boskiej Większej przy ołtarzu Żłóbka św., którego relikwie tam się znajdują. Drugą mszę św. odprawiano w starym kościele św. Anastazji, męczenniczki spalonej za Dioklecjana. (Kościół św. Anastazji znajduje się u stóp Palatynu, od strony Awentynu).

Lekcja z listu św. Pawła do Tytusa zawiera wyjaśnienie Apostoła, że nie dla naszych uczynków sprawiedliwych, ale z Bożego Miłosierdzia zbawił nas Chrystus, abyśmy przezeń usprawiedliwieni, mogli się stać «dziedzicami żywota wiecznego». Ewangelia (Łuk. 2, 15 - 20) podaje opis przyjścia pasterzy, którzy znajdują Józefa, Marię i Dzieciątko złożone w żłobie. Złożywszy hołd i dary Dzieciątku wypowiadają swą radość i wielbią Boga za wszystko, co widzieli i słyszeli «tak, jak im było obiecane».

Mszę trzecią, zwaną królewską, odprawia się w dzień. Dawniej i tę mszę odprawiano w bazylice Matki Boskiej Śnieżnej (Większej) w Rzymie. Liturgia jej i szczególnie znana nam doskonale Ewangelia, bo jest to początek Ewangelii św. Jana odmawiany zawsze na końcu mszy św., znów wspominają potrójne narodziny Zbawiciela. Lekcja zaczerpnięta z listu św. Pawła do Żydów, przytaczając znane teksty prorocze, wyjaśnia nawróconym Żydom, że to właśnie Jezus jest obiecanym Odkupicielem. Na końcu mszy św. jako ostatnią czyta się Ewangelie św. Mat. (2, 1 - 2), która opisuje przybycie Mędrców i Królów ze Wschodu, śpieszących w imieniu pogan, aby uznać przyjście Odkupiciela.

UROCZYSTOŚĆ OBRZEZANIA P. JEZUSA CZYLI NOWY ROK

Myśl przewodnia liturgii święta. Mojżesz nakazał w swym prawie, by każdy nowonarodzony chłopiec był obrzezany w ósmym dniu po przyjściu na świat. Był to obrzęd oczyszczający, figura chrztu. Zbawiciel chciał się poddać temu prawu, aby wykazać prawdziwość Swego wcielenia, by dać przykład pokory i posłuszeństwa, by stwierdzić, że należy do potomstwa Abrahama i by mieć łatwiejszy dostęp do narodu żydowskiego i nie gorszyć niezwykłością.

We mszy „znajdujemy wiele ustępów odnoszących się do dziejącego się wciąż jeszcze faktu Narodzenia Jezusa oraz modlitw zaczerpniętych ze mszy wotywnej do Matki Boskiej, której zaraz po Bogu zawdzięczamy Odkupiciela. Modlimy się w nich o «skuteczne pośrednictwo Tej, przez którą zasłużyliśmy Dawcę życia otrzymać, Pana naszego Jezusa Chrystusa...»

Lekcja ta sama, co na mszę anielską w dzień Bożego Narodzenia (Tyt. 2, 1 - 5). Ewangelia (Łuk. 2, 21), **najkrótsza** ze wszystkich w całym roku kościelnym składa się tylko z jednego zdania i podaje fakt obrzezania Dzieciątka i nadania Mu Imienia Jezus.

KALENDARZYK LITURG'CZNY

21. XII. — Św. TOMASZ, Apostoł Chrystusowy, który powątpiewał, czy inni Apostołowie widzieli zmartwychwstałego Zbawiciela. Dopiero, na widok Zbawiciela ze śladami ran rąk, nóg i boku, Tomasz uwierzył, że ma przed sobą swego Mistrza, który wstał z martwych. Słowa apostoła: «Pan mój i Bóg mój» świadczyły o głębokim wzruszeniu i przejęciu, gdy stwierdził ten wielki cud.

26. XII. — Św. SZCZEPAN, diakon i pierwszy Męczennik za wiarę w Chrystusa. Historię jego męczeństwa podaje Lekcja we mszy św. na ten dzień, zaczerpnięta z Dziejów Apostolskich. Kamienujący św. Szczepana odłożyli na bok swe szaty, aby im nie przeszkadzały. Ubrań pilnował młody faryzeusz imieniem Szaweł, który potem nawróci się, przyjmie imię Pawła i stanie się najgorliwszym Apostołem Jezusa.

27. XII. — Św. JAN, Apostoł i Ewangelista, był najmłodszym wiekiem i najukochańszym uczniem Zbawiciela. On to był świadkiem najważniejszych zdarzeń z publicznego życia Chrystusa Pana, które potem podał w swej przepięknej Ewangelii, napisanej w Efezie w języku greckim około r. 96 - 98. Celem tej Ewangelii było wykazanie Boskości Zbawiciela. Św. Jan był tym uczniem, który w czasie Ostatniej Wieczerzy trzymał swą głowę na piersiach Mistrza i który — jako jedyny z Apostołów — znalazł się pod krzyżem, aby tam otrzymać synostwo Matki Bożej dla nas wszystkich. Św. Jan był długie lata biskupem Efezu, ale pod koniec życia został skazany na wygnanie na wyspę Patmos i tam napisał drugą swą księgę objawioną Apokalipsę, zawierającą wizję ostatnich losów świata i ostatecznego zwycięstwa Chrystusa. Zmarł około 100.

W dniu św. Jana Apostoła kapłani święcą wino i dają je do picia wiernym na pamiątkę zdarzenia, że św. Janowi podano raz zatrute wino, które wypił bez żadnej szkody dla zdrowia.

28. XII. — Św. MŁODZIANKOWIE — to chłopcy żydowscy poniżej lat dwu, których kazał wymordować król Herod, przypuszczając, że wśród nich zginie Król Żydowski, narodzony w Betlejem. Lecz ostrzeżony przez Anioła św. Józef zabrał Dziecię wraz z Matką i udał się do Egiptu, gdzie Rodzina Święta przebywała aż do śmierci Heroda.

29. XII. — Św. TOMASZ BECKET, pochodził z Normandii (dzisiejsza półn. Francja) i był sekretarzem, a potem kanclerzem i przyjacielem króla Anglii Henryka II z dynastii francuskiej. Gdy Tomasz na życzenie króla został arcybiskupem Canterbury, doszło między nimi do zatargu o uprawnienia sądów, gdyż król pragnął mieć wpływ na zakres zastrzeżony dla władzy duchownej. Ten zatarg, podobnie jak mu współczesny zatarg króla Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem Szczepanowskim skończył się tragicznie. Kilku rycerzy z otoczenia króla udało się z Francji do Anglii i tu 29 grudnia 1170 r. w katedrze w Canterbury zamordowali okrutnie arcybiskupa. Wiadomość o morderstwie wielkiego męża napełniła rozpaczą króla, który przybył do Anglii, pielgrzymował do Canterbury, modlił się u grobu zabitego przyjaciela i na znak pokuty kazał się biczować. Zatarg między władzą świecką a duchowną został załatwiony, a grób św. Tomasza, stał się celem pielgrzymek przez prawie trzy wieki.

31. XII. — Św. SYLWESTER I, papież, rządził Kościołem w latach 314 - 335. Okres jego pontyfikatu był pierwszym okresem wolności Kościoła po wielkich prześladowaniach. Jest to czas, kiedy Kościół powiększa swój zasięg, opanowując całe Imperium Rzymskie. Zwołany za tego papieża sobór w Nicei (r. 325) potępił herezję Ariusza i dał jasną naukę o Bóstwie Zbawiciela.

Wszystkie klisze mickiewiczowskie na stronie 8 i 9 oraz klisza «Dom Mickiewiczów » na str. 10 pochodzą z książki p.t. « wspomnienia o Mickiewiczu » i zostały wypożyczone redakcji « ŻYCIA » przez Księgarnię Polską « Orbis » 38 Knightsbridge, London S W. 1.

KOLĘDNICY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

groźby nie spełnili. Bo kolędnicy to wędrowce — anioły, roznosiciele dobroci i wesela, ludzie najlepszej woli. Kolędy ich zaś pachną siejbą pokoju i szczęścia.

— — — — — — — —

Zapatrzony w noc białą, Dziadek Kotarba ogrzewał ciepłem rąk okarynę. Echem kolędy szukał w dawnych latach przypomnień... Okrutna wojna przewaliła się przez kraj. Obcy zdzierca zakazał śpiewania kolęd. Hej, Mocny Wielgi! Z dawnych kolędników jedni rozlecieli się po świecie, inni poszli do lasu. Ale kolęda Kotarbów, Steczków i Leśków została w roztokach Niedorostki nosiły ją teraz pokryjomu od sioła do sioła. Co im tam «miemieckie » zakazy! Telo ino, że się musieli kapkę oddalić od Mszany; gazdowali se honornie na podlesiach i urwiskach. Ale i tam umieli ludzi pocieszyć na odchodnym:

Ani jeden rok nie minie
a ostatni Niemiec zginie,
jak ten stary rok, jak ten stary rok.

Julian Dobrowolski

SPOTKANIE W RZYMIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 7

związanych ze swą podróżą po Europie. Coraz rzadziej dochodziły go wieści o losie poznanych wówczas osób. W roku 1849 odwiedził go jednooki hr. Gurowski, dawny znajomy z paryskich czasów, który odświeżył pamięć o Mickiewiczu. W kilka miesięcy później Cooper otrzymał własnoręczny list Mickiewicza, donoszący mu o śmierci Miss Marlay, która stale infomowała naszego poetę o losie jego amerykańskiego przyjaciela Jej zgon skłonił Mickiewicza do napisania listu do Coopera. W liście prosił poeta równocześnie o poparcie dla jakiegoś artysty, który udaje się na poszukiwanie chleba i sławy do Stanów.

List ten był ostatnim echem spotkania w Rzymie. Zgon Coopera w 1851 położył ostateczny kres nawiązanej tam przyjaźni z Mickiewiczem.

Józef Jasnowski

NA FALACH WSPOMNIEŃ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 10

Łatwo to zrozumiałe nawet dla nie znających języka rosyjskiego...

Za centralny punkt uroczystości wybrano naturalnie Kijów, którego generał - gubernatorem został świeżo zrusyfikowany Niemiec, niedawno nawrócony na prawosławie. Dziwiono się temu, że na przewodniczącego dana Chmielnickiego, wprost na tej uroczystości wybitnie wszechsłowiańskiej i prawosławnej wybrano « dygnitarza, co krwi słowiańskiej kropli nie miał w sobie, a prawosławie przyjął od tygodnia ».

Po nabożeństwie w soborze św. Zofii, na wybrzeże Dniepru, zwane Padół, wyruszył olbrzymi pochód. lśniący wszelkiego rodzaju ubiorami, mundurami, chorągwiami i t p Na czele przed szwadronem gwardii z twarzą pałającą dumą i pychą jechał « sam » Drenteln. Po ceremoniach poświęcenia wód dnieprzańskich zawrócono z powrotem do miasta wśród prażących promieni słońca.

I oto minąwszy już pomnik Bohprzeciwko skromnego kościoła katolickiego, wielkorządca zachwiał się nagle w siodle i runął martwy na ziemię.. Był to piorunujący atak apoplektyczny.

Ta katastrofa, o której jak najmniej i jak najdyskretniej pisano, rzuciła cień na obchody rocznicy w całym państwie, zwłaszcza, że nawet Katkow nie mógł jej przypisać polskiej intrydze...

Ignacy Baliński

GRÓB GARCZYŃSKIEGO W AWINIONIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 12

Nigdy już później nie byłam w Awinionie. Prosiłam natomiast koleżankę, gdy w parę lat potem tam jechała, by zaszła na cmentarz i odwiedziła dozorczynię. Zastała grób w porządku wzorowym — róże kwitły.

Gdy w r. 1945 przejeżdżałem przez południową Francję, w drodze do 2. Korpusu, dowiedziałam się, że żołnierze polscy opiekują się grobem Stefana Garczyńskiego, powstańca bez ojczyzny — jak oni.

Karolina Lanckorońska

***) STEFAN GARCZYŃSKI (WIESZCZ) opiewał mężów polskich i czyny ich zbrojne (ŻOŁNIERZ) jazdy poznańskiej porucznik (WYGNANIEC) z ojczyzny przez tyrana gnębionej, zmarł w Awinionie dnia 20 września 1833. (Napis cytowany z pamięci).**

RÓWIEŚNICY SOBIE NIERÓWNI

DOKOŃCZENIE ZE STR. 13

całkiem spokojny... Tylko 1 czerwca oddałem na przechowanie do klasztoru św. Ducha swój testament oraz pieniądze. Tego samego dnia napisałem do Cesarza list i złożyłem na przechowanie razem z testamentem, nadpisując na kopercie «Uzupełnienie testamentu»...

W tym uzupełnieniu niegdyś katolicki prałat, później niedoszły metropolita prawosławny petersburski (to było największe marzenie Siemaszki), mówił o cudownym obrazie Ostrobramskim. Prosił mianowicie cara o... Ale niech sam powie o tym:

«Już mija dziesięć lat, jakem przygotował sobie grób pod relikwiami świętych męczenników wileńskich w znajdującym się pod moim zarządem klasztorze św. Ducha. Śmierć nie jest mi straszna, nierzadkie były te chwile, kiedy spotkałbym ją jako dobrodziejstwo. Byłaby dla mnie nawet szczęściem, gdyby była wynikiem i zadokumentowaniem świętego dzieła, którego narzędziem dano mi było stać się. Szczęście to nie jest wykluczone dla mnie i podczas obecnych rozruchów i niepokoju.

Jeżeli mi przyjdzie ucierpieć za dobrą sprawę, proszę najpokorniej, aby Wasza Imperatorska Mość raczył zachować o mnie dobre wspomnienie i rozkazał zwłoki moje pochować w przygotowanym przeze mnie grobie, a w celu jedynego odwetu ku pamięci winnych zawiesić Ostrobramski (niegdyś rosyjski) obraz Matki Boskiej nad carskimi wrotami głównego ołtarza w klasztornej cerkwi św. Ducha — niechaj dwie wileńskie relikwie uświęcają i ozdabiają ten święty przybytek.

Mam nadzieję, że prośba moja nie będzie odrzucona. Ośmielam się przypuszczać, iż mam do tego pewne prawa ze względu na zasługi moje dla Cerkwi i Ojczyzny i z tego względu, że przewidywany wypadek stanie się prawdopodobnie z winy rządu»...

Dalej kandydat na męczennika uzupełnia swoje « uzupełnienie testamentu » całkiem niedwuznacznym « donosem » na miejscowe władze, które, nie słuchają jego dobrych rad, popierają i utrwalają « innoplemieńczość i innowierstwo »... Magister św. teologii Uniwersytetu Wileńskiego, kolega i rówieśnik Adama Mickiewicza, nie mógł tego przeboleć...

Do swej wzmianki pamiętnikarskiej z przytoczeniem tekstu « uzupełnienia testamentu » Siemaszko dodaje krótki komentarz:

«Widać, jak silne było we mnie powołanie do służby Cerkwi prawosławnej. Służyłem jej przez całe życie — pragnąłem być pożytecznym i po śmierci»...

My nie będziemy komentować... Czyba tylko zaznaczymy, że nawet car nie odważył się na spełnienie tej, łagodnie mówiąc, dziwnej prośby bądź co bądź chrześcijańskiego kapłana...

Walerian Charkiewicz

Następny numer „ŻYCIA" ukaże się z datą 2 stycznia 1949 w objętości 8 stron zwiększonego formatu

STANISŁAW MĘSKI

WIELKIE DZIEŁO W PITSFORD HALL:

JAK Z PAŁACU ANGIELSKIEGO MAGNATA POWSTAŁA SZKOŁA POLSKICH DZIEWCZĄT

RÓŻNYMI czasy i z różnych powodów do W. Brytanii przybywały gromadki Polaków, prowadząc tu żywot niewesoły. Ich dzieci skazane były na zagładę — religijnie, moralnie i narodowo. Widział to arcybiskup Westminsteru, kardynał Vaughan. Skierował Lady Herbert do Rzymu, do Założycielki Zgromadzenia Najświętszej Rodziny z Nazaretu z prośbą o wysłanie do Londynu kilku Sióstr, aby zajęły się opuszczonymi dziećmi polskimi. Przyjechała (i przyjeżdżała parokrotnie) sama Założycielka, a rezultatem wizyt było powstanie w r. 1897 domu Nazaretanek w Londynie. Usilna praca misyjna wsród Polaków i Litwinów przynosiła owoce, ale niezgoda kolonii uniemożliwiła pracę. Siostry przenoszą się więc na przedmieście Londynu, do Enfield, gdzie otwierają dużą szkołę i internat dla dzieci angielskich. Dziś szkoła ta rozwinęła się wspaniale, obejmując przedszkole, szkołę powszechną i gimnazjum. Posiada pełne prawa rządowe, a jej wychowanki zdają egzaminy do Oxford. Do szkoły tej uczęszczają Polki, Angielki i Irlandki. Obok Enfield, Siostry mają dom i szkołę w Ponders End.

Kiedy stało się jasne że pozostanie w tym kraju wielotysięczna rzesza Polaków, zaczęto myśleć o założeniu filii szkoły enfieldzkiej, wyłącznie dla dziewcząt polskich. Zainteresowany był tym Kardynał Griffin i Delegat Apostolski Arcybiskup W. Godfrey. Skoro Siostry postanowiły utworzyć nową fundację szkolną, obaj dostojnicy powitali projekt bardzo serdecznie. — Właśnie w tym czasie zlikwidowane zostało polskie osiedle sieroce w Rongai, w Afryce, prowadzone doskonale przez Siostry Nazaretanki. Poszły w ruch telegramy z Londynu do Rzymu, gdzie właśnie był Kardynał Hlond, Biskup Gawlina i nowomianowana Przełożona Generalna, Matka Bożena z Polski. Zapadła decyzja, że 13 Sióstr wraz z Matką Reginą Budzyńską ma wyjechać z Afryki do Anglii, prowadzić nowe dzieło.

Lecz jak się znalazły Nazaretanki w Afryce? Długa to i ciernista droga! Nowogródek, skąd wypędzają je bolszewicy. Wilno, skąd, 14 czerwca 1941 r. , wywożą je bydlęcymi wagonami w nieznane. Ciężki obóz koncentracyjny w Starobielsku, potem praca przy budowie dróg i w lesie na Syberii (Cisma). Potem znowu Niżny Tajgil — praca przy dobywaniu torfu. Potem kołchoz Lenina. O głodzie i chłodzie pracują ciężko, równocześnie niosąc pociechę swoim i Rosjanom, przynosząc im Boga. Dopiero w r. 1943, przez Aszchabat i Meszched, przybyły do Teheranu. W Persji prowadzą ochronkę i szkołę (« Ochronka Saperów Karpackich»). W maju 1944 r. udają się do Afryki. Tutaj również ciężka przeszkodami najeżona praca w szkole, internacie, szpitalu, kuchni, pralni. I walka z malarią. Wszędzie zaszczepiają pogodę ducha, poświęcenie, radość. Kochają je dzieci i ludność. Ich gromadka powiększa się o pięć młodych kandydatek: pięć młodych Polek poszło za powołaniem i wstąpiło do Zgromadzenia. Gdy zlikwidowano sierociniec, Siostry, na polecenie Przełożonej Generalnej, rozdzieliły się: 9 do Polski, gdzie pracują w różnych domach Zgromadzenia, 3 do Ameryki, a 13 wraz z Matką Przełożoną do Anglii.

Tymczasem Nazaretanki z Enfield nabyły na własność Zgromadzenia posiadłość Pitsford Hall, położoną blisko Northampton. Duża rezydencja z wszystkimi nowoczesnymi urządzeniami (centralne ogrzewanie etc.), wspaniały park, pełen drzew różnego gatunku (cedry, cisy, sosny; razem jakby ogród botaniczny), ogrody: owocowy, kwiatowy i warzywny, trawniki doskonałe dla zabaw dziecięcych, oraz pole uprawne: razem obszar ziemi wynosi 73 akry. Ponadto inne budynki, z których jeden, największy, przeznaczony na szkołę, w innych mieszkają trzy rodziny polskie, w reszcie angielskie. W ogrodzie znajduje się duży basen kąpielowy, kort tennisowy i miejsca dla innych gier sportowych (n.p. sala gimnastyczna). Całość jest położona pięknie, na wzgórzu, skąpana w słońcu, zdala od ruchu i kurzu miejskiego, stanowiąc miejsce jak najbardziej stosowne dla wychowania młodzieży.



Szkoła polska w Pitsford Hall

Siostry zajęły dom prawie pusty i, bez chwili wytchnienia, zaczęły pracę nad urządzeniem: mieszkań, szkoły i ogrodu. Kto zna miejsce w jego stanie sprzed roku i w jego stanie obecnym, ten może ocenić ogrom włożonego wysiłku i wielkość osiągnięć. Swą mrówczą, a raczej nazaretańską pracą, doprowadziły Siostry dom, szkołę i ogród do tak pięknego stanu, że wzbudza podziw i zdumienie zwiedzających, a jest radością i przykładem dla uczenic. Uruchomieniem i kierownictwem szkoły zajęła się Siostra, posiadająca wykształcenie w Cambridge University. Wnet do pomocy przybyły jej dwie siostry zmuszone do opuszczenia Polski jako obywatelki amerykańskie, nie licząc tych, które przybyły z Afryki, a które pracowały w szkolnictwie w Polsce. Wnet do szkoły zgłosiły się liczne uczenice. W pracy w ogrodzie i w gospodarstwie pomaga fachowo współwygnaniec sióstr w Rosji, inżynier - agronom, stawiając powoli gospodarkę na stopniu mogącym zaspokoić potrzeby całości zespołu, liczącego z dziećmi około stu osób. Oczywiście, już w samych początkach siostry znalazły się bez finansów na uruchomienie warsztatu, bo zasoby Sióstr z Enfield wyczerpały się na kupno majątku i podstawowe oporządzenie domu.

Pierwszą instytucją społeczną, która pośpieszyła zakładowi w Pitsford z wydatną pomocą, była organizacja, znana na całym świecie a szczególnie w Polsce, pod nazwą N.C.W.C. (War Relief Services — National Catholic Welfare Conference), będąca Egzekutywą Komitetu Katolickich Biskupów Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zastępca dyrektora naczelnego tej organizacji, Amerykanin polskiego pochodzenia, którego sercu i opiece Polący tak w kraju jak i na obczyźnie zawdzięczają bardzo wiele, ks. Alojzy J. Wycisło, dowiedziawszy się o założeniu dla dzieci zakładu w Pitsford i o trudnościach, powstałych już na samym wstępie jego działalności, wydał natychmiast swojemu delegatowi w Wielkiej Brytanii szczegółowe dyspozycje przyjścia z bezzwłoczną pomocą SS. Nazaretankom, porającym się z uruchomieniem pitsfordskiego domu. Wykonując polecenie dyrektora ks. Wycisły ks. R. Gogoliński — Elston. reprezentant N.C.W.C. na Wyspach Brytyjskich, przekazał do Pitsford już w końcu miesiąca lipca 1947 roku całkowity sprzęt i wyekwipowanie, wystarczające na puszczenie w ruch zakładu, obliczonego na początek na 35 dzieci. W ślad za meblami N.C.W.C. wysłano do Pitsford około 3 tysięcy funtów żywności na zapoczątkowanie zakładowej spiżarni. W latach 1947-1948, poza pewną finansową pomocą, N.C.W.C. w dalszym ciągu przekazywało do Pitsfordu sprzęt głównie gospodarczy, oraz dosłało dalszych 2.500 funtów produktów. Ostatnio z polecenia ks. dyrektora Wycisło, przekazano Siostrom Nazaretankom do użytku ich pitsfordskiego zakładu półciężarowy samochód, marki «Dodge ». Z kolei udzieliły pomocy Fundusz Społeczny Żołnierza, Komitet Obywatelski, Relief Society for Po!es, Związek Kombatantów, kilka osób prywatnych, **głównie Anglików**.

Cały i główny wysiłek Sióstr skierowany jest ku coraz doskonalszemu urządzeniu szkoły, którą pojmują nie jako sklep z wiadomościami, lecz jako system pełnej formacji całej osobowości. Jak wyżej wspomniano, jest ona filią szkoły w Enfield, opiera się na jej programach i systemie. Oprócz historii i literatury polskiej, oraz nauki religii, wszystkie inne przedmioty są wykładane w języku angielskim. Pielęgnowana jest polskość, ale w dostosowaniu do życia dzieci w W. Brytanii i ewentualnego ich pozostania tu. Nauczycielki są z dziećmi przez cały dzień, przeplatając zajęcia naukowe praktycznemi, ucząc je szyć, robić porządki w domu, pracować w ogrodzie, śpiewać. Specjalna nauczycielka (Angielka) prowadzi lekcje fortepianu, inna uczy rysunków i malarstwa. Atmosfera szkoły i internatu da się scharakteryzować jako atmosfera pracy, radości, w myśl hasła « Módl się i pracuj ». Pożywienie dawane jest punktualnie 5 razy dziennie. Szkoła otrzymuje specjalny przydział mleka, a własny ogród dostarcza w obfitości świeżych jarzyn i owoców.

Szczególnymi wynikami może się wykazać przedszkole. Czterolatki z małżeństw angielsko - polskich nie umiejące ni słowa po polsku, wnet nabywają wprawy w mówieniu ojczystym językiem ojca, nie tracąc umiejętności języka matki: angielskiego; jest to specjalna radość dla ojca - Polaka móc nareszcie rozmawiać z własnym dzieckiem po polsku. Byłoby wskazane, by coraz większa ilość Polaków, ożenionych z Angielkami, posyłała swe dzieci, na kilka choć miesięcy, do tego przedszkola dla przećwiczenia ich w języku ojczystym i dla przygotowania do I Komunii św., czego nieraz matka, protestantka lub świeżo nawrócona katoliczka, dokonać nie jest w stanie.

Siostry planują rozszerzenie szkoły do tego stopnia, by dzieci po ukończeniu szkoły powszechnej, mogły kontynuować swą naukę dalej, jużto przygotowując się do uniwersytetu, jużto do życia praktycznego. Myślą więc Siostry, by uruchomić w niedalekiej przyszłości szkołę praktyczną: szycia, gotowania, gospodarstwa domowego, uprawy jarzyn i hodowli zwierząt domowych.

Posiadamy zatem w tym kraju instytucję wychowania i wyszkolenia, a jej rozwój i wpływ w znacznej mierze zależy od tego, jak do niej ustosunkowują się przebywający tu, z myślą pozostania, lub powrotu kiedyś do Ojczyzny Polacy. Instytucja ta, katolicka i polska, rozwinie się jeśli, **po pierwsze:** rodzice będą posyłać do niej swe córki; koszta utrzymania, nauki, podręczników, prania, opieki lekarskiej etc. wynoszą kwotę £2 na tydzień. **Po drugie:** jeśli znajdą się instytucje i ludzie dający swe poparcie; szkoła jest w toku rozwoju i wiele osób może wesprzeć ją przesyłając do niej książki, obrazy, różne przedmioty (potrzebne by n.p. **były maszyny do szycia, aparat do wyświetlania filmów, instrumenty laboratoryjne, etc.). Po trzecie:** jeśli znajdą się młode Polki, które, idąc za głosem powołania, wstąpią do Zgromadzenia Sióstr i powiększą ochoczą liczbę pracownic na Bożej niwie.

Kończąc, chcę zaznaczyć, że sprawą wychowania zajmuje się Episkopat polski w swych dwu ostatnich Listach Pasterskich. Szkoły zakonne w Polsce pracują usilnie wśród trudnych warunków i znajdują poparcie u Polaków. Jak długo jeszcze będą mogły dzieło swe prowadzić, Bóg jeden wie. Są uzasadnione obawy, że wpływ bezbożnego komunizmu zostawi swe zgubne ślady na duszach wielu z młodego pokolenia, a im dalej, tym będzie gorzej. Jak długo zaś to potrwa... nie wiemy. Stojąc wobec smutnej przyszłości, winniśmy zrobić wszystko, by wychować swe młode pokolenie jak najlepiej, a to zapewnia nam jedyna tutaj szkoła katolicka, o jakiej piszemy. Wszystkich zatem sił należy dołożyć, by Siostrom pomóc w ich wysiłkach.

Stanisław Męski

«ŻYCIE», Katolicki Tygodnik Religijno Społeczny. Redaguje Komitet pod przewodnictwem Ks. T. Kirschke.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
12. Praed Mews, London W. 2.
Tel.: AMBassador 6879.

Prenumerata: miesięcznie 3 sh 6 d, kwartalnie 10 sh.

Ogłoszenia: 1 cal przez 1 łam — £. 1., w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Drobne: 1 wiersz 6 d. Administracja zastrzega sobie prawo nieprzyjęcia ogłoszenia.

Za treść ogłoszeń wydawnictwo nie bierze odpowiedzialności

Redakcja przyjmuje codziennie z wyjątkiem niedziel, świąt i sobót od godz. 11 do 12. Administracja czynna codziennie z wyjątkiem niedziel, świąt i sobót w godzinach od 9 do 12 i od 2 do 5 popoł.

Printed in Belgium for « VERITAS » Foundation. 12. Praed Mews. London W.2. by «LA COLONNE» Ltd. 22, rue de la Braie. — Bruxelles